TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok V. Nr 42 (242)
Łódź, 21. X. 62.
Cena
1 zł

odgłosy

DZIEWCZYNA z baletu „HARNAMA"

■

O zespole tym piszemy w następnym numerze

jedno rzeczy

MARIAN PIECHAL

Ta biedna MŁODZIEŻ!

Ktoś tam kiedyś powiedział — już nie pamiętam kto — że taka będzie jutro ludzkość, jaka jest dzisiaj młodzież. Przez długi czas to powiedzenie uchodziło — i dziś jeszcze uchodzi — za bardzo mądre. Ale ja uważam, że nie bardzo. Bo jest zbyt uproszczone i niedialektyczne. Nie uwzględnia leżącej w naturze rzeczy nieustannej zmiany warunków, które nie pozwalają żadnemu dzisiaj przechodzić w nienaruszonym kształcie w tożsame z nim jutro. Prosty stosunek wynikający dotyczy jedynie rzeczy martwych, a nie ludzi żywych i historii przez nich tworzonej. Rozwój historyczny jakiegokolwiek zjawiska nie odbywa się bowiem według formuły: 2 × 2 = 4. Rzeczywistość, proszę państwa, to nie prosta arytmetyka, ani nawet matematyka. To coś o wiele bardziej złożonego i w swej ustawicznej zmienności tak skomplikowanego, że nawet najtęższy współczesny cybernetyk staje przed tym bezradny.

Mam na myśli słynnego amerykańskiego uczonego prof. Norberta Wienera, autora znanego również i u nas z polskiego przekładu głośnego dzieła pt. „Cybernetyka i społeczeństwo". Porusza on w nim również i sprawę nauczania młodzieży, co w jego pojęciu łączy się nierozerwalnie ze sprawą wychowania. I dochodzi do przykrych wniosków nie tyle, co do młodzieży, ile co do sposobów jej nauczania i metod jej wychowania, czyli co do samych jej nauczycieli — oczywiście w najszerszym rozumieniu tego czcigodnego skądinąd wyrazu od pracowników ministerstwa oświaty układających programy szkolne począwszy, poprzez autorów podręczników układanych według tych programów, a na uczących młodzież według tych podręczników i programów nauczycielach skończywszy.

To, że dzieje się tak gdzie indziej, nie usprawiedliwia faktu, że dzieje się tak u nas. Wszak mamy ambicję zaliczania się do przodujących krajów postępu. To nas zobowiązuje zwłaszcza w dziedzinie racjonalnych metod nauczania i skutecznych sposobów wychowania. Niemniej krytyczne uwagi prof. Wienera dotyczące tych metod i sposobów charakterystycznych i typowych dla świata kapitalistycznego dotyczą również — niestety — i naszego szkolnictwa.

Stwierdza na przykład prof. Wiener: „Żyjemy w epoce, gdy ogromna ilość wiadomości przypadająca na

Dalszy ciąg na str. 7

JAN HUSZCZA

ROZMYŚLANIA *podczas* PODWIECZORKU

Właściwie — to naszemu kochanemu radiu dzieje się krzywda. O programach telewizyjnych pisza w prasie skwapliwie i na poczekaniu dziesiątki recenzentów. Nic prawie nie uchodzi ich uwadze, niekiedy aż przesadnie czujnej. Czasem odnosi się wrażenie, że przy każdym realizatorze programu telewizyjnego stoi kilku krytyków, co — pilnowanych może budzić odruch zniecierpliwienia i nawet przekore. A o programach radiowych lub choćby o niektórych jego istotniejszych pozycjach można sobie poczytać rzadko od święta, od wielkiego dzwonu. Odbywa się od pewnego czasu festiwal słuchowisk radiowych. Słuchowiska — to rzecz niebagatelna, wymagająca ambitnych wysiłków. Ciekaw jestem, ile też na ich temat przeczytamy komentarzy?

Prawde jednak mówiąc, to i radio samo przyczynia się do tego stanu rzeczy. Ostatecznie bowiem nie od dziś nawet jak wie, że opinie trzeba i da się organizować. Nie mam nic zdrożnego na myśli: stronie zainteresowanej niekoniecznie powinno w takich wypadkach zależeć na zdawkowej opinii korzystnej rozsadna strona zainteresowana wie, iż najlepsza jest opinia złożona z sądów sprzecznych, dyskusyjnych.

Otóż — a pozwolę sobie sięgnąć pamięcią w przedwojenną przeszłość — był czas, gdy radio utrzymywało ścisły kontakt z prasą, płaciło, tak jest, płaciło ryczałty dziennikarzom i literatom, zobowiązując ich do stałego pisywania — uwaga, uwaga — niekoniecznie pochlebnych recenzji, do omawiania dowolnie wybieranych przez tę drugą stronę audycji. Nawet jeśli różnie da się taki sposób budzenia zainteresowania oceniać — co do mnie oceniam go ujemnie — jednego tej arcypoważnej instytucji nie można było zarzucić, a tego mianowicie że nie interesowała się opinią! A już do współpracy ze swoimi programami po prostu ludzi namawiano: odbywano z autorami rozmowy i spotkania, z czego np. łódzka rozgłośnia od dawna całkowicie zrezygnowała...

Wracajmy jednak do tematu! W wypadku naszych programów radiowych jeszcze najczęściej ocenom podlegają audycje których treść stanowi rodzima piosenka humor i satyra. Cóż, widocznie głód tych audycji jest szczególnie duży i — jak się zewsząd słyszy — niezbyt szczęśliwie zaspokajany.

9 września tradycyjny podwieczorek przy mikrofonie, tradycyjnie też zwolujący przed aparaty o najróżniejszej obudowie setki tysięcy słucha-

Dalszy ciąg na str. 2

NÓŻ NIE W WODZIE NIESTETY...

Felieton Sceptyka

Syn pobił ojca. Uczynił to w sposób wyjątkowo sadystyczny, kopiąc leżącego. Posiniaczył starego na całym ciele i złamał mu kość w kolanie. Bestialstwo działo się na Bałutach. Nie ćwierć wieku temu, lecz przed rokiem. Za spowodowanie ciężkiego uszkodzenia ciała swego ojca syn został skazany na 1 rok więzienia z warunkowym zawieszeniem kary na dwa lata. Prokurator wyroku tego nie zaskarżył. Uczynił to dopiero oskarżyciel nadzorujący.

Mąż pobił żonę. Pobił? Wpakował jej nóż w lewy bok, uszkadzając opłucną, przeponę i śledzionę. Tę ostatnią chirurg musiał usunąć. Ona była alkoholiczką, on miał opinię nienaganną. Sąd skazał go na 6 miesięcy więzienia. I w tym przypadku prokurator nie założył rewizji. Natomiast uczynił to skazany. Z pozytywnym skutkiem dla siebie. Sąd wyższej instancji zawiesił odsiadkę na lat cztery.

Notoryczny alkoholik i awanturnik wpakował nóż w bok człowiekowi, który chciał go odwieść od zbrodni. Skazany został za to na 6 miesięcy aresztu. Również z warunkowym zawieszeniem kary na okres 2 lat. Prokurator wyjątkowo zapowiedział rewizję, ale zapowiedź długo pozostawała zapowiedzią, bo sąd z pisaniem uzasadnienia wyroku się nie spieszył. Zbrodzień tymczasem cieszył się i cieszy wolnością.

W ciągu półrocza na przełomie lat 1961—1962 Sąd Powiatowy dla m. Łodzi rozpatrzył 26 tego rodzaju przestępstw przeciwko zdrowiu ludzkiemu. W 14 sprawach dowiedziono, że winni używali niebezpiecznych narzędzi. Nóż był w ruchu pięciokrotnie, tępe żelazo dwukrotnie, siekiera raz, kamień też raz. W pozostałych wypadkach — to, co było pod ręką — noga od stołu, łopata do chleba, drążek drewniany, sztacheta, kij, wałek do ciasta. Ten ostatni świadczy o obecności w tej grupie sprawców — kobiet. Dla ścisłości — dwóch kobiet.

Zdecydowaną większość targających się na cudze zdrowie stanowią mężczyźni, w wieku powyżej lat trzydziestu, pracownicy fizycz-

Dalszy ciąg na str. 12

I ŁODZIANIE SCHODZĄ POD WODĘ

– patrz str. 8

ROZMYŚLANIA podczas PODWIECZORKU

Dalszy ciąg

ze str. 1

czy, zaprezentował składankę z pozycji wybranych z najlepszych podwieczorków, taką przynajmniej w takich wypadkach redaktorom przyświeca zasada. Na wstępie zresztą Zenon Wiktorczyk zaprosił słuchaczy do wypowiadania uwag o podwieczorkach. Trzeba stwierdzić, że nie zaprasza zbyt gorliwie, gdyż zapomniał nawet o podaniu adresu, pod który należy swoje uwagi wysyłać. Nie poinformował też, czy radio przyjmuje ich opłatę pocztową na siebie, co niektóre, na serio interesujące się opinią instytucje, czyniły lub czynią.

Dlatego te rozmyślania słuchacza podwieczorków przesyłam za pośrednictwem tych łamów. A mam przy tym w pamięci inny — również reprezentacyjny czyli jak gdyby „podsumowujący" — podwieczorek, na jaki zaprosiła swoich odbiorców telewizja, któregoś z wieczorów wielkanocnych w kwietniu.

Te dwa — właśnie reprezentacyjne i podsumowujące — podwieczorki niewesołe, chciałoby się powiedzieć: rekolekcyjne nastroje wywołują u konsumenta, przypominając mu częściej źle przygotowanego dorsza i wystygłą herbatę, niż mocną kawę i kawałek dobrego tortu.

Ożywiając w pamięci, rzecz jasna, i wiele innych podwieczorków (choć z dużym trudem, co też ma swoją wymowę!) chciałbym przytoczyć skrótowo kilka medytacji i krytycznych refleksji. Rzecz zastanawiająca: piosenki i ich wykonawcy zmieniają się dość często, podwieczorkowa estrada zaprasza niekiedy gości, nawet spośród studentów, co jest słuszne; natomiast autorzy tekstów satyryczno-humorystycznych i ich wykonawcy zmieniają się nader rzadko. Można to zrozumieć, ale tylko do pewnego stopnia: audycja ma swoje tradycje, pewien swój szablon. Słuchacze przyzwyczajają się do aktorów i — chyba znacznie rzadziej — do autorów. Rozumiem i to także, że w audycjach, obliczonych na setki tysięcy słuchaczy, daje się najbardziej łatwe, trafiające do tzw. masowego odbiorcy, utwory. Mimo to, dość często odnosi się wrażenie, że redakcja podwieczorków ocenia poczucie humoru masowego widza zbyt nisko, schlebiając najmniej wybrednym gustom, zapominając o tym, że po przez stałą choć ostrożną interwencję, polegającą na urozmaicaniu programu i podnoszeniu jego poziomu, wyrabia się słuchacza, daje mu się za każdym razem jakąś nową szansę.

Z kolei zatrzymajmy się przy niektórych szczegółach. Otóż takiej roli nie spełniają, niestety, „gazetki" Andrzeja Rumiana, nieraz pozbawione uncji dowcipu, nie nacelowane w żadnym kierunku. Jego zaś ostatni słyszany przez piszącego te słowa skecz na temat flegmy angielskiej był mniej zabawny, niż pierwsza lepsza anegdota o pokrewnej treści. Niech to także dla niektórych zabrzmi jak herezja, ale monolog „samego" Sławomira Mrożka (ten, o gościu bez nogi!) to przecież niesmaczna makabra!

Są ludzie, którzy w popularnych monologach Jerzego Ofierskiego szukają satyrycznie ujętej wiedzy o wsi. Muszę się z pokorą przyznać, iż na mnie — i nie tylko na mnie — robią one wrażenie, że o chłopach mówi mieszczuch z tradycyjną dla mieszczucha w tym wypadku beztroską, choć autor i wykonawca w jednej osobie prywatnie wcale nie musi być mieszczuchem, choć zwolennicy tych monologów twierdzą, iż „Dziennik Ludowy" skwapliwie je drukuje ku zadowoleniu swoich czytelników. Cóż, mówimy o sprawach wyczucia, upodobań i gustów, w których najtrudniej o obiektywizację oceny.

Był czas, że uszlachetniano podwieczorki przez występy poetów. Szkoda, że tej praktyki zaniechano. Dobra piosenka i dobrze podany rzetelny wiersz, winny stale znajdować się w programie podwieczorków. Wiersze okolicznościowe, wychodzące przeważnie spod pióra Romana Sadowskiego, rzadko czynią zadość tej potrzebie. (Wolę go jako autora tekstów satyrycznych). Nawet w wypadku, gdy poezję pojmuje się dość konwencjonalnie, uznając konieczność apelowania do niezbyt przygotowanej wyobraźni i zdolności percepcyjnej. Takie utwory jak np. o Januszu Kusocińskim reprezentują pretensjonalny sentymentalizm, jakiś — jak mówią Rosjanie — „nabór słów" nalaśliwych niszczący szlachetne intencje.

Nic nie cieszy się takim zrozumieniem i powodzeniem jak aluzja erotyczna. A to, Polacy są narodem zmysłowym, w tych sprawach każdy słuchacz (kc) jest po swojemu kompetentny. Czy jednak aluzja erotyczna musi być tak przejrzysta i trywialna jak to nieraz dzieje się w monologach wielce popularnej Hanki Bielickiej?

Chciałoby się czasem satyry wyraźnie aktualnej — mogłaby istnieć w postaci powiedzonek, fraszek czy jakichś innych zwięzłych dygresyjek, w postaci może właśnie przekształconej „gazetki", której jednak przydałby się operatywny „komitet redakcyjny" pod opieką tegoż Andrzeja Rumiana...

Nie muszę chyba dodawać, że mają podwieczorki swój pozytywny dorobek we wszystkich rodzajach estradowych, mieszczą się w tym dorobku i autorzy krytycznie tutaj potraktowani, bo nie o to w tych rozważaniach chodzi.

Uogólnijmy: podwieczorki cechuje monotonia tematyki z wyraźną przewagą alkowianej; nijaki stosunek do choćby bardzo ostrożnego eksperymentu; niechęć do rozsądnych zmian; nikły kontakt z różnymi przejawami naszego życia.

Jeszcze gorzej wygląda sprawa „Programu z dywanikiem". Humor tych „podróży" przedstawia się niekorzystnie nawet na tle mniej udanych podwieczorków. Choć szanowni dysponenci „dywanika" zatrzymują się w różnych miastach, to jednak mechanicznie adoptują problematykę lokalną — tedy przeważnie są to podróże do nikąd, aczkolwiek sam pomysł „podróży" wart troski i wysiłków.

Zwolennicy dotychczasowej sytuacji mogą powiedzieć: nie ma autorów! (Niepowodzenia filmowe z reguły tłumaczy się kryzysem scenariuszowym, rzekomym brakiem zainteresowania ze strony pisarzy, prowadzącym do sytuacji, w których kierownik literacki jednego z zespołów filmowych jest jednocześnie i scenarzystą, jak w wypadku „Domu bez okien", o czym zresztą pisały także i „Odgłosy").

Otóż: mało to w naszym kraju satyryków i prześmiewców i to nie tylko w stolicy! Kilka dziesiątków satyryków, mających za sobą tomiki i tomy mógłbym bez trudu i na poczekaniu wyliczyć: kilka dziesiątków humorystów rozmaitego autoramentu bez tomików — także!

Zdaje się więc, że jedna z klęsk ma swoje źródło w wyraźnie zacieśnionym kręgu autorskim.

A kto, proszę państwa, zechce w dodatku od czasu do czasu sięgnąć po arcybogaty dorobek satyryczno-humorystyczny naszej literatury poczynając od Jana Kochanowskiego na dwudziestoleciu zaś kończąc, co?

Opinię i autorów, jeśli się chce, można budzić ze snu, można „organizować"...

JAN HUSZCZA

ROZMOWA ODGŁOSÓW Z:

prof. dr. inż. CZESŁAWEM JAWORSKIM

kier. Katedry Kolei Elektrycznych PŁ

Jakimi problemami zajmuje się kierowana przez Pana Profesora katedra i czy jest ona jedyną tego rodzaju placówką w wyższym szkolnictwie technicznym w kraju?

— Jest jedną z dwóch, z tym że katedra warszawska nosi nieco inną nazwę, a mianowicie „Trakcji elektrycznej". Nasze zainteresowania, a jednocześnie nasze zobowiązania — to przygotowanie dla kolei elektrycznych i dla przemysłu taboru elektrycznego, odpowiednich kadr inżynierskich. Do chwili obecnej wydaliśmy 166 dyplomów. Nasi absolwenci pracują dziś przy eksploatacji trakcji elektrycznej na kolejach i w górnictwie, w politechnikach i w instytutach naukowych, w biurach projektowych i w przemyśle produkującym urządzenia taboru kolejowego, w Łodzi i Warszawie, w Poznaniu i Wrocławiu, w Krakowie i Turowie, niejednokrotnie na eksponowanych stanowiskach i, o ile wiem, ciesząc się przeważnie dobrą i najlepszą opinią.

— A poza dydaktyką?

— Poza dydaktyką nasze główne zainteresowania skupiały się w latach ostatnich przeważnie na zagadnieniach opłacalności trakcji elektrycznej, ostatnio...

— Czy ta sprawa nie jest już aktualna?

— Myślę, że przestała być aktualna. Jeszcze przed kilku laty o zakres elektryfikacji kolei w Polsce (ostatnio o linią kolejową Kraków—Przemyśl) trzeba było staczać boje tak w resorcie kolei, jak i na terenie KPG, dziś oficjalne plany resortowe przewidują już elektryfikację znacznej części sieci kolejowej, głównie linii magistralnych i podmiejskich.

— Czy w tych „bojach" brała też udział katedra prowadzona przez Pana Profesora i ewentualnie, na czym one polegały?

— Na zlecenie Polskiej Akademii Nauk wykonane zostały przez nas trzy poważne prace naukowe na temat progów opłacalności i zakresu elektryfikacji kolei w Polsce; tezy tych prac, powtarzane zresztą przez nas od wielu lat w licznych referatach i wystąpieniach na szeregu specjalnych konferencji na terenie PAN, KPG, NOT, a przede wszystkim w resorcie kolei odegrały, jak się nam wydaje, pewną rolę i wywarły pewien wpływ na opracowywane następnie plany długofalowe.

— Jakie były główne argumenty przemawiające za elektryfikacją kolei?

— Był długi ich szereg, natury technicznej, ekonomicznej i społecznej.

— Społecznej?

— Tak. Współczesne tempo życia gospodarczego wymaga dostosowania do niego systemu trakcji kolejowej. Czas jest drogi. Także czas każdego z nas. Pasażerowie kolei tracą dziś w Polsce na podróże ponad miliard godzin rocznie. Oznacza to stratę roczną liczoną w miliardach złotych. Tę stratę można zmniejszyć tylko przez zwiększenie średniej, tj. handlowej prędkości pociągów, a to — na wielką skalę — dać może tylko trakcja elektryczna.

— Przecież „szybkość" kosztuje?

— Może w trakcji parowej, w trakcji elektrycznej pociąg pośpieszny jest tańszy niż osobowy.

— To dlaczego dopłacamy „za pośpiech?".

— Nie wiem. Sugerowałem wielokrotnie zniesienie tej dopłaty. Niezależnie od tego w rachunku ekonomicznym kosztów własnych przewozu powinien być uwzględniony nowy czynnik: wartość społeczna czasu podróżnych.

— Nie rozumiem.

— Wyjaśnię na przykładzie. Opracowywałem niedawno zagadnienie wyboru najwłaściwszego taboru dla Warszawskich Kolei Dojazdowych. Z analizy wynikało, że jeśli się nie uwzględni wartości społecznej czasu podróżnych, to uzasadnionym będzie ekonomicznie utrzymanie prędkości pociągów na poziomie ustalonym przed 35 laty, tj. rzędu 30 km/godz. Uwzględnienie natomiast wartości tego czasu w wysokości tylko 3 zł za godzinę podnosi tę prędkość do 40 km/godz.

— Czy podnoszenie prędkości pociągów elektrycznych nie jest zbyt niebezpieczne, jak to wykazała ostatnia katastrofa pod Piotrkowem?

— Nie znam przyczyny tej katastrofy, w każdym razie, sądząc z prasy, nie leżała ona w trakcji elektrycznej. Mimo tragicznych jej skutków nie zmienia ona faktu, że koleje polskie stoją na szczęście na jednym z ostatnich miejsc w statystyce wypadków kolejowych, daleko w tyle np. za Anglią i Francją.

— Czy mimo to, zdaniem Pana Profesora, należy podnosić nadal prędkości pociągów?

— Chciałbym uniknąć nieporozumienia: nie chodzi wcale o podnoszenie prędkości maksymalnej, dopuszczalnej dla danego toru i danego taboru, może ona pozostać nawet na poziomie przedwojennym 100—120 km/godz. Chodzi o skrócenie ogólnego czasu podróży pasażerów, a to można uzyskać przez zastąpienie ciężkich pociągów osobowych — pośpiesznymi, a lekkich — składami jednostkowymi, których cechą jest duże przyśpieszenie, a przez to duża prędkość średnia. Oczywiście tak tabor jak i wszelkie urządzenia elektrotrakcyjne muszą być dostosowane do nowych potrzeb przewozowych.

— Czy te sprawy leżą obecnie na warsztacie Zakładu?

— Przede wszystkim te. Przeprowadzamy obecnie obszerną analizę właściwości taboru elektrycznego i warunków jego eksploatacji. Na podstawie wyników tej analizy będziemy próbowali następnie sugerować wytyczne dla nowych rozwiązań urządzeń taborowych i zasad eksploatacji trakcji elektrycznej.

— I na zakończenie jeszcze jedno pytanie. Jak przedstawia się plan elektryfikacji kolei polskich i czy kierunek na coraz większą elektryfikację jest w ogóle w naszych warunkach słuszny?

— W Polsce do r. 1975 powinniśmy zelektryfikować około 6 tys. km linii (plan oficjalny przewiduje około 5 200 km; dotąd zelektryfikowaliśmy ponad 1 200 km). Znaczy to, że w najbliższych latach elektryfikacja obejmie 25% sieci kolejowej i to na liniach skupiających 75% wszystkich przewozów kolejowych. Jestem przekonany, że nie wyczerpie to jeszcze zakresu elektryfikacji kolei w Polsce. Dla porównania: w Szwecji zelektryfikowano już ok. 40% sieci kolejowej, w Szwajcarii 100%.

Co do kierunku tych prac, to jest on najbardziej słuszny, co starałem się wykazać w ciągu mojej wieloletniej pracy naukowej, uzasadniając tzw. wielką elektryfikację kolei w Polsce. Trakcja spalinowa jest bowiem właściwa wszędzie tam, gdzie zgodnie z jej naturą potrzebna jest praca lekka, nie wymagająca dla obsługi danej linii kolejowej zbyt wielkiej mocy zainstalowanej w lokomotywach, zaś trakcja elektryczna — przy wszelkiej pracy ciężkiej. Znaczy to, że domeną właściwą trakcji spalinowej jest praca manewrowa oraz obsługa linii o rzadkich i lekkich pociągach; cała pozostała praca pociągowa w szczególności na liniach silnie obciążonych, stanowi domenę trakcji elektrycznej. Na całym świecie zrozumiano, że trakcja parowa jest dziś przeżytkiem i w r. 1956 wielkie kraje takie jak Francja, Anglia i Związek Radziecki zrezygnowały z utrzymania trakcji parowej na kolejach zastępując ją trakcją elektryczną i spalinową. Kolej elektryczna jest niewątpliwie jakimś składnikiem postępu i dobrze się stało, że również i Polska w rok później powzięła decyzję unowocześnienia systemu trakcji kolejowej.

informacje i zaczepki

Niedawno temu odbył się w Pałacu Sportowym w Łodzi wielki koncert estradowy. Na imprezie zobaczyliśmy najwybitniejszych i najpopularniejszych łódzkich aktorów, którzy tym razem występowali honorowo, bowiem cały dochód z koncertu przeznaczono na budowę Domu Emerytowanego Aktora w Skolimowie. Piękny gest łódzkich artystów godny jest najwyższego uznania.

●

Czy uwierzycie, że na terenie Łodzi znajduje się około 9 tysięcy hektarów gruntów ornych? Ponadto w Łodzi „mieszka" ponad 4 tys. świń, 1.500 koni, i ponad 75.000 sztuk drobiu. Jesteśmy więc, jak widać, bardzo dużą i bogatą wsią.

●

W ubiegłym tygodniu zanotowaliśmy dwa wystąpienia łódzkich twórców na terenie ogólnopolskim. A mianowicie: ostatni numer „Życia Literackiego" przynosi na pierwszej kolumnie wiersze trzech poetów kubańskich w przekładzie Mariana Piechala. Natomiast Rozgłośnia Warszawska PR nadała w ubiegłą sobotę audycję poetycką poświęconą twórczości Jana Koprowskiego.

●

Kółko Astronautyczne przy PDK w Łasku zbudowało ponoć własną rakietę (czy raczej rakietkę) kosmiczną i opracowało do niej paliwo. Fakt ten odnotowujemy jako pierwszą na Ziemi Łódzkiej próbę lotu kosmicznego. Niestety, pojazd nie wszedł na orbitę. Na razie więc łódzki „Orbis" nie dysponuje biletami na trasę Ziemia — Kosmos — Ziemia.

●

Bardzo mądrą inicjatywę podjął ostatnio Komitet Łódzki ZMS. Otóż w klubie „Pałacyk" odbywać się będą dla młodzieży szkolnej „biesiady literackie" na temat literatury współczesnej, polskiej i obcej. Uważamy, że byłoby nieźle, aby do współpracy obok młodych nauczycieli zaproszono także łódzkich pisarzy.

●

Jak już informowała prasa, łódzka „Cytryna" zdobyła sobie na festiwalu teatrów studenckich w Jugosławii wiele uznania. Sukces naszych medyków jest bezsporny. Przy okazji musimy się przyznać do pomyłki: „Cytryna" pojechała do Jugosławii z nowym programem pt. „Piegowaty dzień", a nie jak podaliśmy ze składanką „Pawie i pawiaki". Tyle o „Cytrynie". A co z „Pstrągiem", który od dość dawna milczy?

●

Łódzkie bary mleczne zarobiły w ciągu ośmiu miesięcy tego roku na czysto milion złotych. Okazuje się, że przy odrobinie zmysłu handlowego, można zarobić nie tylko na wódce, że nawet mleko, to od zwykłej, a nie „wściekłej" krowy, też jest rentowne.

●

Jubileusz 45 lat pracy pedagogicznej obchodził niedawno Władysław Kałuzny, kierownik szkoły nr 2 w Aleksandrowie Łódzkim. Warto dodać, że jubilat jest najstarszym stażem i wiekiem kierownikiem szkoły w naszym województwie. „Odgłosy" serdecznie gratulują pięknego jubileuszu i życzą wielu jeszcze lat pracy.

●

Jak podaje „Trybuna Ludu" Oddział PCK Łódź-Śródmieście liczy sobie aż 30 tysięcy członków. Cyfra dość wysoka, ale zrzedła nam mina, gdy dowiedzieliśmy się, że aktyw społeczny w tymże oddziale liczy... 30 osób. A zatem jeden aktywista na tysiąc członków. Trochę za mało.

●

W ramach Dni Prasy i Książki Technicznej w 50 łódzkich zakładach pracy zorganizowane zostaną wystawy książkowe. Poza tym księgarnia „Horyzont" eksponować będzie publikacje techniczne niemieckich firm wydawniczych z Berlina, Lipska i Monachium.

●

Niedawno gościła w Łodzi grupa delegatów na Kongres Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, jaki odbywał się w Warszawie. Twórcy filmów naukowych ze Związku Radzieckiego, Anglii, Japonii, Bułgarii, Francji, Włoch i Rumunii zwiedzili Łódzką Wytwórnię Filmów Oświatowych.

●

Warto odwiedzić bardzo ciekawą wystawę jaką otwarto niedawno w Muzeum Włókiennictwa. (Piotrkowska 282). Ekspozycja nosi tytuł „Tysiąc lat włókiennictwa" i zobaczyć tam można zarówno rekonstrukcje pierwszych maszyn włókienniczych, próbki tkanin aż z X wieku, jak i makiety mechanicznych krosien z wieku XVIII. Zwłaszcza dla młodzieży wystawa może być świetną lekcją historii.

●

Biuletyn Informacyjny PTT-K kontynuuje dyskusję o problemach turystyki, jaką prowadziły w swoim czasie „Odgłosy". Ostatni numer Biuletynu przynosi artykuł Zdzisława Konickiego na ten właśnie temat i zapowiada dalsze głosy w dyskusji.

●

W ciągu dwu ostatnich lat łódzkie uczelnie wydały ponad 1.400 dyplomów. Nie wszyscy jednak absolwenci pozostali w naszym województwie. Jak wynika ze statystyk, łódzkie uczelnie „zasilają" także część województwa kieleckiego i poznańskiego.

●

Państwowe Wydawnictwo Naukowe wyda niebawem publikację traktującą o łódzkich parkach. Jak wynika z owego opracowania nasze miasto posiada aż 25 parków. Warto poza tym dodać, że park na Zdrowiu jest jednym z większych w Europie. Książkę opracowali naukowcy z Zakładu Systematyki Roślin UŁ oraz Przedsiębiorstwa Ogrodniczego.

J. W.

Ze świata filmu

◆ W 1962 r. zostały w „Lenfilmie" zorganizowane trzy zespoły realizatorów filmowych. Kierownikami zespołów są: I — Kozincew i Chejfic; II — Iwanow; III — Ermler i Wengierow. W tej samej wytwórni odbywają się zdjęcia nowego filmu reżyserii Ermlera zatytułowanego „Z Nowego Jorku do Jasnej Polany". Treścią filmu są losy dwóch rosyjskich robotników, którzy uciekli w 1908 roku do Ameryki, gdzie dzięki pomocy wielkiego pisarza — Lwa Tolstoja znaleźli pracę u Tomasza Edisona. Po Rewolucji Październikowej obaj wrócili do kraju, z których jeden Piotr Ochrimenko został tłumaczem i współpracownikiem „Prawdy". Ochrimenko znał osobiście słynnego Johna Reeda. W innej radzieckiej wytwórni filmowej — „Sojuzmultfilmie" w końcowym etapie realizacji znajduje się szerokoekranowy film kukiełkowy, którego scenariusz napisany przez Galina oparty został na poemacie Majakowskiego „Latający Proletariusz". Reżyser radziecki Jurij Ozierow wraz z reżyserem czechosłowackim Vladimirem Vlčkiem realizuje film fabularny o Jarosławie Hasku „Wielka droga". Film ma ukazać losy pisarza od czasów jego przymusowej służby w armii austriackiej aż do momentu wstąpienia do Armii Czerwonej i jego powrotu do kraju.

◆ W końcu lata odbyła się w Nowym Jorku premiera pierwszego fabularnego filmu zrealizowanego w Cineramie (3 aparaty wyświetlają równocześnie trzy osobno nakręcone części filmu panoramicznego na trzy obok ustawione półkoliste ekrany). Film ten z siedmiokanałowym dźwiękiem stereofonicznym pt. „Baśniowy świat braci Grimm" został wyprodukowany i reżyserowany przez Georgesa Pala znanego twórcę fantastycznych filmów między innymi „Wehikułu czasu". Realizacja tego filmu trwała w atelier w Wytwórni Metro-Goldwyn-Meyer prawie trzy lata. W filmie tym wystąpili między innymi Laurence Harvey, Claire Bloom, Yvette Mimieux.

◆ Twórca wyświetlanego u nas w DKF filmu „Głową o mur" — Georges Franju zrealizował adaptację słynnej powieści Mairaux — „Teresa Desqueroux". Tytułową rolę odtworzyła Emanuele Riva, znana u nas z filmu Alaina Resnaisa „Hiroszima moja miłość". Partnerami znanej aktorki w filmie Franju byli Sami Frey i Edith Scob. Michele Morgan i Danielle Darrieux występują po raz trzeci w jednym filmie wg scenariusza Francoise Sagan a w reżyserii Claude Chabrola. Treścią filmu są losy znanej postaci Landru, który posłużył swego czasu Orsonowi Wellesowi jako schemat do scenariusza filmu „Mr. Verdoux" zrealizowanego przez Charlie Chaplina. Warto dodać, że w jednej z wytwórni szwajcarskich realizuje się film „Między miłością a śmiercią, w którym debiutuje córka Chaplina, Geraldina.

◆ Tajemnicza kobieta — szpieg, tancerka indonezyjskiego pochodzenia rozstrzelana w Paryżu w 1917 roku za rzekome szpiegostwo na rzecz Niemiec — Mata Hari, po raz drugi ukaże się na ekranie w filmie Edgara Ulmera. Jej postać odtworzy tym razem Jeanne Moreau. W przedwojennym filmie Fitzmaurice'a rolę Mata Hari grała Greta Garbo.

◆ W tym roku po raz pierwszy od 20 lat ilość nowo otwartych kin w Stanach Zjednoczonych przewyższa ilość kin zamkniętych. W latach 1950—1960 zamknięto w USA ponad 7000 kin. Konkurencja telewizji była nie do pokonania. Obecnie największy nacisk kładzie się na zakładanie kin na otwartym powietrzu, głównie tak zwanych kin samochodowych. (2.100 w roku 1950; 5.000 w roku 1962) w miejscowościach podmiejskich, przy dużych domach towarowych. Zrezygnowano w Stanach Zjednoczonych z budowy kin-gigantów. Otwiera się jedynie, jak na stosunki amerykańskie małe kina od 600—1000 miejsc. Coraz większym powodzeniem cieszą się wśród publiczności amerykańskiej tak zwane kina studyjne, w których wyświetla się filmy o wysokim poziomie artystycznym nagradzane na międzynarodowych festiwalach filmowych. Ilość tych kin wzrosła w ciągu ostatnich czterech lat o przeszło 100 proc. i wynosi obecnie 600. Ciekawym zjawiskiem jest również powodzenie starych filmów, na przykład zestaw najlepszych filmów Harolda Loyda bije obecnie rekordy kasowe.

Okazuje się także, że nie tylko Amerykanie chodzą często do kina. 230 mln lirów wydatkowali mieszkańcy Włoch na różne imprezy rozrywkowe w 1961 roku, z tej sumy 56,1 proc. przypada na bilety kinowe, 21,6 proc. na opłaty radiowe i telewizyjne, 6,8 proc. na imprezy sportowe, 3,8 proc. na widowiska teatralne oraz 11,7 proc. na inne.

A. N.

JAZZ, JAZZ, JAZZ! reż. Alfreda Shaughnessy niebawem wejdzie na ekrany. Jest to typowy film muzyczno-rewiowy, w którym fabuła jest tylko pretekstem do ukazania wokalistów, instrumentalistów i orkiestr. Większość z nich cieszy się popularnością w programach muzycznych brytyjskiej telewizji. Odtwórczyni głównej roli Diane Todd, aktorka i piosenkarka debiutowała w filmie w roku 1953. Ma za sobą występy w radio i telewizji, a także w Stanach Zjednoczonych w głośnym filmie „My Fair Lady". Lansowana jest na Zachodzie jako nowa Deanne Durbin („Siostra lokaja", „Wieczna Ewa").

MIESZANKA FILMOWA

MARIA KORNATOWSKA

ANTYWESTERN *czyli* „SIEDMIU WSPANIAŁYCH"

Ktoś nazwał western filmem par excellence. I chyba nie ma w tym przesady. Wielu krytyków na różne i bardzo uczone sposoby próbowało wyjaśnić tajemnicę tego gatunku, odkryć sekret owego magicznego uroku jaki wywiera on na widzach całego świata. Czy tylko strzelanina, bójki i pościgi ściągają takie tłumy do sal kinowych? Czy może smak wielkiej przygody, dalekich horyzontów egzotyki? Czy western, należy uważać za filmowy odpowiednik średniowiecznych „chansons des gestes"? Cóż jednak może łączyć ciężkich zakutych w stal rycerzy o szlachetnie brzmiących imionach rodowych z ludźmi marginesu społecznego, kowbojami w wąskich dżinsach i rozchełstanych koszulach. Może legenda lub rzeczywistość mitu?

A jednak ta więź istnieje. Najlepszym tego dowodem jest amerykański film „Siedmiu wspaniałych" reżyserii Johna Sturgesa oparty na scenariuszu samurajskiej czyli rycerskiej sagi o „Siedmiu samurajach" znakomitego japońskiego realizatora, Kurosawy. Samurajska opowieść okazała się świetnym tworzywem dla westernu. Bezrobotni kowboje poczuli się znakomicie w rolach błędnych rycerzy. Wspaniały kurosawowski las przeobraził się w wypalony słońcem krajobraz Meksyku. Jak daleko może sięgać jednak porównanie obu filmów? Łączy je, jak się zdaje, nie tyle wspólna kanwa fabularna ile owe pokrewieństwo duchowe, braterstwo w mitologii, w poetyce wśród ludzi i w ludziach. Sturges zachował daleko idącą wierność wobec schematu fabularnego scenariusza Kurosawy. Przeszczepił go na grunt konwencji właściwych westernowi. Konwencji zewnętrznych (plener, środowisko, obyczaje, kostiumy) i wewnętrznych (typy konfliktów dramatycznych i postaci). Ale film Kurosawy był swego rodzaju requiem dla czasów rycerskiej świetności, requiem dla ostatnich samurajów, broniących praw i sprawiedliwości, samurajów, którzy zwyciężcy muszą przegrać, albowiem nadszedł kres ich czasowi. Western nie dopuszczał dotychczas możliwości klęski swych bohaterów, tej klęski ostatecznej, klęski własnego losu. Western jest przecież apologią, jest optymistyczny bez względu na ilość trupów jaka w nim padnie. Skąd się więc wzięli ci przegrani dżentelmeni, przychodzący znikąd i odchodzący do nikąd w przyzwoitym skądinąd westernie?

W sposób nader podstępny, nie roniąc nic z rekwizytów „końskiej opery" Sturges ugodził boleśnie w mit leżący u źródeł westernu. Zadał mu śmiertelny cios. Czymże bowiem jest lotny koń, odwaga, niezawodna dłoń wobec pustki wewnętrznej, wobec świadomości przegranej bohatera? Tak więc film Sturgesa jest właściwie antywesternem czyli westernem uszlachetnionym o egzystencjalistyczną filozofię, o etykę „pięknego gestu". Yul Brynner nie ma w sobie nic z naiwnej prostoduszności Johna Wayne (Rio Bravo) czy też Henry Fondy (Miasto bezprawia). To kowboj z podtekstem intelektualnym, camusowski bohater, którego inteligencja dorównuje zręczności z jaką posługuje się bronią palną. Każdy z jego współtowarzyszy jest człowiekiem, który nie ma nic do stracenia ani też nic do zyskania.

Rysunek tych postaci i ich prezentacja w filmie są zresztą znakomite. Ci ludzie wcielają mit, mit siły, zręczności, zwycięstwa, swobody. I oto mit ów w zetknięciu z przyziemną, pozbawioną wszelkiego blasku rzeczywistością chłopskiego życia ujawnia swą nicość i pustkę. Dostrzega to olśniony zwodniczymi pozorami Mały i wybiera rzeczywistość. Ale on ma możność wyboru. Prawdziwi kowboje, rycerze Pogranicza są niewolnikami swego losu, niewolnikami mitu i odchodzą ze smutkiem w dal, albowiem w skrytości ducha marzą o cichej przystani i prozaicznym życiu w chłopskiej chacie. Rzecz jasna, że takie marzenia nie przystoją normalnemu bohaterowi normalnego westernu, i godzą w samą istotę gatunku. Nie zmienia to jednak w niczym faktu iż „Siedmiu wspaniałych" to film pasjonujący, znakomicie zrealizowany, dynamiczny, trzymający widza w nieustannym napięciu dzięki świetnej, z dramaturgicznego punktu widzenia, budowie poszczególnych epizodów. Znakomici są również aktorzy Yul Brynner, Horst Buchholtz, Steve Mc Queen, Charles Bronson i James Coburn.

STANISŁAW STAN-WIŚNIEWSKI

PARYSKIE SPOTKANIA z POLSKĄ MŁODZIEŻĄ

Spotkanie pierwsze: Stołówka studencka. Obok mnie dwaj zgłodniali młodzieńcy, pochyleni nad misą. W pewnej chwili jeden z nich podnosi głowę i skanduje, zupełnie nie a propos, tzw. „wiązankę" w naszym ojczystym języku. Drugi, nie przerywając jedzenia, mówi: „Mógłbyś nie kląć. Oni i tak nie zrozumieją". Poprosiłem o podanie solniczki. Po polsku. Krótkie spojrzenie: — „O, pan Polak", Dalej jedzą.

— Panowie tu studiują?

— Aha.

Chwila milczenia.

— Panowie od dawna we Francji?

— Hm... ja nie, kolega.

Próby konwersacji spełzły na niczym. Po chwili zaczęli rozmawiać między sobą po francusku. Żebym nie zrozumiał.

Spotkanie drugie: w sekretariacie Sorbony. Rodak zapisuje się na mój wydział.

— Więc będziemy razem studiować! — mówię. — Zorientował się już pan w programie? Z podręcznikami jest bardzo trudno, są drogie...

— Wie pan, ja to nie mam specjalnie czasu. Może na egzaminy przyjdę...

— ?...

— A no tak. Ja tu pracuję u jednego architekta. Sto tysięcy miesięcznie. Nieźle co? Chcę sobie kupić „Dauphine". Widział pan ostatni model? Zmienili trochę karoserię, wie pan, błotniki inaczej wygięte. I karburator. Przedtem jak się jechało pod górę, to...

— To dlaczego zapisał się pan na uczelnię?

— Jak to „dlaczego"? Bo dają „tikiety" do restauracji no i potem z paszportem...

Spotkanie trzecie: Tu styl groteski nie pasuje. Andrzeja P. spotkałem na jednym z wykładów w College de France. Studiuje literaturę francuską i filozofię. Ma dwadzieścia dwa lata. Jeszcze w tym roku będzie miał licénce, a za dwa doktorat. Do Francji przyjechał na własną rękę (normalna, oficjalna droga: zapis na Sorbonę, podanie o paszport, prośba o wizę, rok czekania i wyjazd) i na własne koszty. Zarabia na życie pracując w księgarni — pakuje w nocy książki i sprząta. Kończy pracę o trzeciej w nocy — o dziewiątej zaczynają się wykłady. Stypendium? Francuzi nie dadzą — trzeba być „réfugier", a Polacy? — „trzeba było ubiegać się w Polsce, przed wyjazdem". Proponuję mu, żebyśmy wpadli na kawę — odmawia; jutro egzamin. Zresztą kawa kosztuje 60 franków...

Dużo wody upłynęło zanim zrozumiałem iż napotkanym rodakom nie należy rzucać się w ramiona z radosnym okrzykiem: „O, Polak!" że nic z gawęd na nutę „Hej, Polska... daleko, panie, smutno... łany zboża... nowy supermarket w Warszawie... wiatr na polach...". Nic z tych rzeczy. Pana inżyniera K. spotkałem w kawiarni „Old Navy". Poznaliśmy się przez wspólnych przyjaciół Francuzów. Zapytałem pana K. gdzie w Paryżu można spotkać Polaków. Podał mi trzy adresy: Klub Studentów Polskich na Obczyźnie na Odeonie, klub młodzieżowy na av. Beaucour i Klub Kombatantów. Do Klubu Kombatantów nie poszedłem, jednakże następnego dnia udałem się na av. Beaucour.

Klub mieści się w dawnym atelier Styki. Na ścianach, oprawne w złocone ramy, obrazy mistrza. W kącie, odgrodzone parawanem, cmentarzysko rzeźb. W brązowych wazach stare pędzle, na stoliku fotografia malarza. „Klub politycznie obojętny, dają za darmo kawę, bardzo mili ludzie" — tak scharakteryzował klub inż. K. Przywitał mnie młody człowiek i, faktycznie, zaproponował filiżankę kawy. Rozmawialiśmy przez chwilę o pogodzie, potem przedstawiłem się dodając, iż jestem korespondentem jednego z tygodników krajowych. Wyraz nieufności pojawił się w oczach mego rozmówcy: „My tutaj tak sobie przychodzimy, posiedzieć, pogadać, nikt nikogo nie pyta o przekonania polityczne...". Zapytałem, kto finansuje klub — odpowiedź była kategorycznie wymijająca. Chcę napisać o klubie — czy kierownictwo nie ma nic przeciwko temu? — tak, proszę bardzo, tylko żeby nie wymieniać nazwisk.

Jak się zorientowałem po kilku wizytach w klubie na av. Beaucour bywają tak Polacy (posiadacze ważnego paszportu) jak i tzw. „réfugiers" czyli ci co „wybrali wolność". Spędzają czas na oglądaniu telewizji, na rozmowach, czasami na bridge'u. O czym rozmawiają? Temat numer jeden — samochody. Młodzieńcy niejednokrotnie nie umiejący wyrazić się poprawnie po francusku zdążyli już zaadoptować ideały życiowe przeciętnego Francuza; ich personifikacją jest samochód, „la bagnole". Chodzą źle ubrani, często nie dojadając (tym tylko różnią się od petits bourgeois francuskich, dla których „dobrze zjeść" jest pierwszym przykazaniem) byle tylko osiągnąć ideał i pojechać do Polski na wakacje własnym samochodem, pokazać biednym rodakom co to Zachód! Temat numer dwa, to rozważania teoretyczne nad przewagą jednego systemu socjalnego na drugim. Opinie kształtują się w funkcji trwania ich pobytu we Francji: w miarę czasu entuzjazm przemienia się w sceptycyzm, w krytycyzm.

Są trzy zasadnicze grupy na jakie można by podzielić „młodych Polaków na obczyźnie": primo — obywatele polscy, secundo — réfugiers", tertio — Francuzi polskiego pochodzenia. Klub na Odeonie jest przybytkiem właśnie grupy trzeciej. Z tymi ludźmi trudno znaleźć wspólny język. Gdy próbować tłumaczyć, że w Polsce naprawdę nie jest tak źle i że wolno chodzić do kościoła (bardzo istotne!) klasyfikują pana zaraz jako „najemnika reżimu", a w najlepszym wypadku nazwą pogardliwie komunistą. Nie rozumieją polskiej rzeczywistości — ich Polska, to Polska ich rodziców, ta „jeszcze sprzed wojny" — tak wyraził się o klubie na Odeonie pan K. Poszedłem. Gdy wspomniałem o „tygodniku krajowym" dano mi do zrozumienia, iż powinienem opuścić lokal klubowy. Cóż robić, opuściłem...

* * *

W sobotę wieczór poszedłem do „Mazurki". Na górze przy barze sympatyczny Maciek P. — były mistrz Polski juniorów w boksie. Na dole w piwnicy, kilku młodzieńców bezbłędnie i szybko obsługuje klientów. Konsumpcja obowiązkowa — 8 NF. Siadam, zamawiam whisky (oczywiście po polsku „jedną liskę, proszę"). Na sali kilku panów („ależ tak, panie prezesie", „czyżby, panie pułkowniku") sączy koniak i przy „małym czerwonym" bawi się grupa młodych ludzi. W sali obok Czesi śpiewają Marsyliankę. „Liskę" podaje mi Bohdan K. (w Polsce dziennikarz, tu — kelner lub bezrobotny). Siada na chwilę koło mnie. Rozmawiamy. Bohdan zna prawie wszystkich obecnych: przy filarze siedzi Danka Z. — jest „na aliansie" (Aliance Francaise — szkoła jęz. francuskiego dla cudzoziemców), zarabia na życie pracując jako „naganiaczka" u takiego jednego portrecisty na Montmartre: daje się portretować, zachwyca się dziełem mistrza. Od każdego następnego klienta ma 15%. Ten z brodą, przy pianinie, to Profesor. Tak go tu wszyscy nazywają. Co robi? Pracuje w fabryce jako tokarz, a w wolnych chwilach pisze. Proza. Strasznie dziwne opowiadania. Teraz to mu się dobrze powodzi, ale jeszcze rok temu... Miał taki wózek, na którym woził cały swój dobytek: kilka garnków i stare gazety. Jak to, po co gazety? Myślisz, że zawsze można znaleźć miejsce na kratach metra? Jak jest zła pogoda to wszystko zajęte — sam Profesor mi opowiadał — inni kloszardzi przeganiają: wtedy śpi się gdziekolwiek, byle się dobrze obłożyć gazetami... Wcale nie zimno... I handlował butelkami: w klubie urządził sobie skład — wyrzucili go potem.

Ten chudzielec z wąsami to pan Z. — właściciel fabryki plastyku. Były właściciel, bo go już zlicytowali. Mówię ci, genialny facet — ustawił tak produkcję, że bił na głowę wszystkich francuskich konkurentów. Nazywali go „sale Polack". Zaczęli mu robić świństwa i musiał zamknąć fabrykę.

Jeszcze kilka innych postaci; małe sprawy małego światka. Jedni na drodze do „kariery", do pieniędzy, inni obojętnie, bez złudzeń.

Poznałem Barbarę R. Za tydzień wraca do Polski — po dwuletnim pobycie w Paryżu. Przyjechała nie umiejąc ani słowa po francusku, bezpośrednio po maturze. Przez pierwszy rok pracowała jako sprzątaczka i uczyła się francuskiego. Potem zapisała się na uczelnię. Studiowała nadal pracując zarobkowo; o zdaniu egzaminów nie mogło być mowy. Czy żałuje tych dwu straconych lat? „Wcale nie straconych! Nauczyłam się po francusku, zobaczyłam kawał świata... Wie pan, w te wakacje pracowałam jako kelnerka na statku tureckich linii żeglugowych. Byłam w Konstantynopolu, w Atenach...".

W poniedziałek poszedłem do Biblioteki Polskiej na Wyspie Świętego Ludwika. Gdy wypełniłem druczek pani w okularach spojrzała na mnie nieufnie: „Ach, to pan jest ten Stan-Wiśniewski, co to przesiaduje wciąż w Mazurce?...". Koło się zamyka. W małym światku ludzie znają się nawzajem. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

HENRYK RUDNICKI

KSZTAŁCENIE NOSA

Zmysł powonienia, tak ważną rolę odgrywający w życiu człowieka (z czego nieraz nie zdajemy sobie sprawy) w niewielkim jest poważaniu. Kiedy urodzi się dziecko — matka sprawdza na wszystkie sposoby, czy widzi, czy dobrze widzi, czy rozróżnia kolory. Bada się wrażliwość noworodka na dźwięki, kształci się u dziecka słuch. Ochrania się oczy przed słońcem, a uszy przed dzikim hałasem. Ale, który rodzic raczy sprawdzić czy jego pociecha posiada w pełni rozwinięty... węch?

A tymczasem zapachy grają nie mniejszą rolę w życiu człowieka, niż światło lub hałas. Człowiek posiadający dobry, przeciętny węch, nie będzie jadł zepsutych potraw, nie napije się zgniłej wody, zawierającej bakterie. „Zapaszek" pięknie wyglądającej ale nadpsutej szynki ostrzeże go w porę przed możliwością zatrucia. Uciekamy od miejsc cuchnących dlatego, że tak nam każe zmysł powonienia stojący na straży naszego zdrowia.

Nasz węch potrafi również oddziaływać na inne zmysły, a poprzez linie komunikacyjne nerwów rozkazywać oddzielnym członkom naszego ciała, powodować obronne odruchy. Ileż to razy budzimy się, gdy pokój napełni się jakimś niespodziewanym, a przykrym zapachem. Jakże często nawet we śnie budzą nas nagle mdłości, powodowane zmysłem powonienia, który dostrzegł w czas co się dzieje i budzi nas wszelkimi sposobami. Powonienie ostrzega nas nawet wówczas, gdy nie widzimy, ani nie słyszymy niebezpieczeństwa zagrażającego naszemu zdrowiu lub życiu.

Brzydki zapach może nawet wpływać na nasze postępowanie, na naszą równowagę psychiczną, powodować bóle głowy, obrzydzenie, jednym słowem wprowadzać nas w stan taki, że żyć się nie chce.

* * *

I na odwrót — miłe dla powonienia zapachy wprawiają człowieka w błogostan. Wiedzieli o tym doskonale kapłani Egiptu, Grecji i Rzymu, wynalazcy pachnących substancji dla wprawiania wiernych w ekstazę, stosujący pachnące olejki dla celów medycznych, dla higieny, czy nawet dla balsamowania ciał zmarłych dostojników. Przepisy kapłańskie na wyrób pachnideł, trzymane w tajemnicy ujawnił dopiero Apolloniusz z Herophilesu, nazywany z racji swego traktatu — ojcem perfumologii. Po nim zasłynął znów Megallus — twórca maści pachnących balsamicznie. W Rzymie, w czasach Martiala — sławny był niejaki Cosmus — jeden z pierwszych w historii świata fabrykantów perfum.

Ascetyczne chrześcijaństwo na wiele lat skazało piękne zapachy na banicję, uważając je za diabelskie środki podniecające do grzechu. Wyklęto wówczas perfumy w całej Europie i dopiero rycerze-krzyżowcy wracający z Palestyny poczęli „szmuglować" na królewskie dwory rozmaite nardy, ambry i piżma.

* * *

Twórcą nowej ery w przemyśle zapachowym jest wielki Avicenna, wynalazca metody destylacji (X wiek naszej ery). Odtąd wyrób perfum i pachnideł stawał się coraz powszechniejszy. Pojawili się nowi wynalazcy, jak Maur hiszpański — Rhases, twórca „pachnącego alkoholu", jak mistrz Aleksis — wytwórca pachnącego dymu (ze spalanych „ptaszków", lepionych z perfumowanej pasty). W 1370 roku zasłynęła w całej Europie „Woda Królowej Węgier" — prototyp wody kolońskiej. Perfumy wchodziły coraz bardziej w użycie. Produkowano nie tylko wody, maście i olejki pachnące, ale nawet pachnące rękawiczki (wynalazca: Mutio Frangipani). W 1548 r. George Marteau napełniał perfumowaną wodą fontanny. Karol Lilly począł produkować perfumowany tytoń. Czarodziej Cagliostro sprzedał pani Pompadur za grubą monetę tajemnicę „cudownych perfum" dających wieczną młodość i zdolność kochania.

W „Roczniku Perfumeryjnym" na rok 1834 madame Celnart zamieściła olbrzymią listę mistrzów perfumerii. W spisie tym widzimy nazwiska sławne i dzisiaj — jak rodziny Houbigant i Chardin, Piver i Adam, Lubin, Parquet, Rimmel, Rouché, Armingeat, Chuit, Guerlain. Taki na przykład guerlainowski „Baume de la Ferté" (balsam) czy „Lotion de Guerlain" (płyn leczniczy), „Eau de Cologne Imperiale" czy „Eau aromatique de Montpellier" używane są od stu lat przez paryskie piękniśie.

* * *

I u nas wody pachnące były w szerokim użyciu. Z „mchu dębowego moczonego miesiąc w okowicie" wyrabiano bardzo przyjemny „nastój", którym skrapiali się rycerze, aby zachować potencję i sprawiać miłe wrażenie na płci pięknej. (Mówiąc nawiasem mech dębowy wchodzi dziś jako jeden z główniejszych składników słynnego „Chypru"). Piękne panie skrapiały się „nastojami" z korzenia irysowego, kolendru, róży, goździków, gałki muszkatołowej, myto włosy w wyciągach z tataraku i chmielu, nacierano się olejkami jałowcowymi (jako obrona przed „zarazą"), wyrabiano mydła domowe z dodatkiem dziegciu, bobrowego „stroju" (wyciskanego z gruczołów bobrowych), pocierano ręce i nogi miętą, pietruszką, kąpano się w macierzankowej wodzie, w rozmarynie, w sianie, w naparze z selerów, w jodłowych szyszkach, w topolowych pąkach, w liściach bobkowych rzucanych do kadzi pełnej wrzącej wody. Te wszystkie używane drzewiej naturalne olejki, nastoje, wyciągi, maście i mazidła weszły do dzisiejszej perfumowej receptury na równi z pachnidłami syntetycznymi. Tylko najlepszy fachowiec może się jako tako rozeznać w świecie dzisiejszych zapachów produkowanych dla płci obojga — brzydkiej i pięknej.

* * *

Człowieka niewrażliwego na dźwięki — nazywamy głuchym. Niemożność rozróżniania barw — nazywa się daltonizmem (od nazwiska lekarza — Daltona). Częściowa lub całkowita utrata powonienia nazywa się — anosmią. Człowiek dotknięty anosmią jest takim samym półkaleką jak daltonista, jak półgłuchy. Dziecko, które zdradza braki powonienia należy szybko zaprowadzić do lekarza, bo węch, podobnie jak słuch i wzrok potrzebny jest człowiekowi do utrzymania pełni zdrowia. (Dziecko cierpiące na anosmię zdradza brak apetytu).

A poza tym przecież nie tylko barwa kwiatu „uszczęśliwia nasze dusze", jak powiedział poeta. Pospolite „wąchanie" róż, jaśminów, lawendy, heliotropu i tysiąca innych kwiatów — daje człowiekowi niewypowiedzianą subtelną przyjemność, nastraja dobrze do życia. I jeżeli uczymy naszą młodzież poznawać barwy tak miłe dla oka — uczmy ją słodyczy zapachu kwiatów, uczmy poznawania i odróżniania woni fijołka od zapachu róży. Jednym słowem kształćmy nasze nosy, wydoskonalajmy zmysł powonienia, jak uczył ojciec wszej perfumerii — stary, mądry Apolloniusz z Herophilesu.

Szkice amerykańskie (III)

WANDA KARCZEWSKA

New Jork City

Pani Lucja, autorka, Kanadyjczyk i gnädige Frau.

ROZMÓWKI POLSKO-AMERYKAŃSKIE *czyli o* SKOWRONKACH

Atlantyk. Wzięliśmy kurs na północ i w popołudniowych godzinach trzeba zrezygnować z leżakowania na otwartym pokładzie. Więc od podwieczorku do kolacji — oszklona weranda. Statek idzie równo, tylko czasem na jakiejś dziewiątej fali uniesie się gwałtownie i trzaśnie twardo dnem dziobu o grzbiet podstępnej fali. Znów cisza; z kawiarni — odgłosy skrzypiec, fortepian, brzęk szklanek; pachnie kawa i koniak.

Przeszkadza mi czytać rozmowa. Tych kobiet — więcie już których. Kiedy w hallu cichnie poobiedni ruch — one przychodzą tu, na werandę przyglądać się ludziom wchodzącym do kawiarni, idącym na pokład. I mówią, mówią. Opieram głowę o tył fotela. Skrzydła mewy, dwa łuki zdziwionych brwi wiszą w rogu szyby, spryskanej wytryskiem spod dzioba. O czymże one tak mówią, dowiedzmy się wreszcie.

— „Bidne te Poloki — powiada jedna — jaki ony chlib mają w ty Polsce. Ony jeszcze mielą żyto na żarnach, you know what's żarna i jedzą te czarną glinę z piaskiem — rzecze druga — w szafie jeden dress wisi na kołku ale na śniadanie wódka... — podchwytuje trzecia — na obiad wódka, na kolację wódka... — mówi pierwsza i mówi druga — gdzie pójdziesz wódka — mówi jedna przez drugą i trzecią — i jak zobaczę teraz kogo w brudny koszuli i koślawych butach to będę wiedziała Polok na podwieczorek wódka ony tam wszystko przepiją dlatego nic ni mają u nas w Ameryce housy i kary a ony tam wódka i dej „zielonego", dej buty, dej dress, ty sobie kupisz za pare centy i wódka... Nic więcej nie poślę...

O wy chłopy, chłopki i chłopięta, co portki sprzedacie, pas zastawicie, aby ugościć i upoić rodaka z Hameryki, wy somsiady co z butelczyną w kieszeni przychodzicie się trynknąć z Amerykunem i z tą polską frajerską (45-procentową) gościnnością częstować będziecie ich czym chata bogata, stuknijcie się tą butelczyną w głowę. Wy do nich z sercem i alkoholem jak od wielkiego święta, a oni to za codzienność polską biorą i rośnie jak Ameryka długa i szeroka po farmach i suburbiach „sława" i chyr wielkiego polskiego opilstwa, fama o potędze narodowej pijanii, w której chodzi omroczony od rana do wieczora i w długie nocne godziny bachanalie odprawia Polak leżący na dnie upadku i żebrzący od rodaków z Ameryki o ciuchy i dolary. Fuj, rodacy, poprawcie się i jak gość wasz drogi z Kentucky przyjedzie — dajcie mu do kotleta z kapustą słodkie zimne mleko, dajcie mu „kofi" do zupy, oni do tego przywykli, a najwyżej dajcie im jeden jedyny kielonek alkoholiczności w szklance wody sodowej przed obiadem — taki polish coctail — i broń was Boże więcej, jeśli przywiązanie waszych dolaro- i ciuchodajnych do skowronka i wierzby w zgorszenie, odrazę i niechęć zamienić się nie ma, czego Wam nie życzę, ale co się po większej części dzieje. Tyle słów na ten dzień dzisiejszy, amen. „Ejmen" — oni mówią.

Olivier wczoraj zobaczył u mnie „Amerykę" Osmańczyka. Prosił o pożyczenie.

— With pleasure — mówię — pan czyta po polsku?

— Sure, jestem Polakiem z krwi i kości. Z dziada pradziada, z ziemi bocheńskiej, ze wsi Brzozowice, najpiękniejszego miejsca na kuli ziemskiej...

Mówi nie skażoną, czystą polszczyzną i już wiem, o Jezu ty mój! za chwilę będzie mowa (trawa) o wierzbach, skowronkach i wodnych lelijach.

— Byłem u nas po siedemnastu latach... — ciągnie.

— ?

— Kładłem się na miedzy i wciągałem w płuca zapach koniczyny, siana. Słuchałem śpiewu skowronków. Wie pani tam ptaki nie śpiewają...

(No — proszę, są skowronki).

— Gdzie „tam" — odzywam się.

— Tam, w Ameryce...

U niego „tam" oznacza Amerykę, „oni — Amerykanie". U tamtych kobiet w hallu „tam" jest Polską, „oni" — to Polacy. „Tam", małe, ledwo zauważalne słówko pozwala się najlepiej zorientować w stopniu poczucia polskości emigrantów, ich sile uczuciowego związku z krajem, w procesie odłączania się uczuciowego i psychicznego od Starego Kraju i wrośnięcia w nową ojczyznę. Nie ma na to reguł, ale stara emigracja mówi o Polsce „tam", o Ameryce — „u nas". O sobie — „my, Amerykanie". Dla nowej emigracji „u nas" to jeszcze jest w Polsce, „tu" — w Ameryce. Ale to różnice z grubsza. W sposobie wymawiania tego „u nas" są tysiące niuansów: jest gorycz, lekceważenie, jest duma, podziw, tęsknota i zaciętość. Te różnice słów „tam" i „oni" i „u nas" — jeśli dobrze patrzysz i słuchasz, mówią o rezygnacji i rozpaczy ludzkiej albo po prostu o głupocie i pysze, czasem małości i o komplekach.

Rozmowa z Olivierem o „Ameryce" Osmańczyka. Denerwuje go zbyt manifestacyjnie wypisana na pierwszych stronach sympatia autora dla ZSRR, wiara Osmańczyka w światową misję cywilizacyjną tego kraju. Pyta, czy ta „czołobitność" nie jest daniną — warunkiem wyjścia tej obiektywnej, prawdziwej książki o USA, pełnej imponującej wiedzy o życiu tego kraju. Stronę rzeczową książki ocenia bardzo wysoko. Opowiada o Polsce. Co widział, co czuł. Był w Krakowie, Nowej Hucie, na Śląsku, Warszawie, Białymstoku, Gdańsku. Był w teatrach, w Filharmonii, oglądał wystawy malarskie, chodził po księgarniach, bibliotekach, kościołach. Mówiąc zamyśla się. Potem tonem zwierzenia: „Wie pani, tam jest dostatnie życie, ale duchowa pustka Na każde wakacje jadę do Francji, Włoch. Jedzie pani do Ameryki, przekona się pani, w tamtym typie kultury, w ich standardzie życia Europejczyk się dusi.... albo... przywyka i staje się jednym z nich...

Mówię — dopóki nie dotknę, nie zrozumiem **całkowicie** istoty takich pojęć jak „amerykański standard myślenia". Takie określenia jak „kryteria materialne", „skomercjalizowanie sztuki", używane przez prasę i przeciwników politycznych, nie podparte konkretnymi przykładami, osobistą praktyczną wiedzą, powtarzane często zaczynają mieć dźwięk pustych sloganów. Olivier mówi: „Zobaczy pani, przekona się pani". Myślę, czy nie prowokuje mnie przypadkiem do wypowiadania sądów o tamtym kraju, zanim stopa moja jeszcze go nie dotknęła. Wszystko możliwe na tym najlepszym ze światów. Kim jest Olivier?

Z hallu weszła Mała Doktorowa, ta z Cieszyna, wiecie już. Czerwona, ze szklącymi się oczyma. Chciała nas wyminąć, ale Olivier poderwał się z poręczy, chwycił ją za rękę.

— Proszę nie uciekać, co się stało...?

Małej Doktorowej drżą usta. Oho — myślę — znów miała scysję. W obronie skowronków. Już wszyscy wiemy, że jej mąż jest lekarzem, że mają trzy luksusowe pokoje z lodówką, pralką, dywanami i obrazami, że nie chce od swojej siostry z Toronto ani paczek ani dolarów, sama sobie zapłaciła podróż złotówkami i wiezie w prezencie cały kufer meisenowskiej porcelany, złoty naszyjnik... Mała Doktorowa jest łatwa w nawiązywaniu stosunków i rozmów z pasażerami, głośno i naiwnie szczerze cieszyła się, że „zobaczy tę legendarną wspaniałą Amerykę". Teraz pokonuje chęć wybuchnięcia płaczem i mówi, do Oliviera przede wszystkim:

— Niech pan posłucha, co oni wygadują. Tam, ci, co stoją w hallu w ogonku przed biurem intendenta. Oni opowiadają sobie o Polsce i — śmieją się. Mówią — jaką Polskę zostawili pięć dziesiąt lat temu, taką zastali. W Polsce nigdy nie było wychodków i do dziś dnia naród chodzi za stodołę — mówią. A powiedz Polokom o bathroomach (łazienka) to oni nie wiedzą nawet co to jest.

Mała Doktorowa jest roztrzęsiona:

— Nie wytrzymałam, zapytałam, gdzie oni byli poza swoją rodzinną, zakutą wsią.

— Oni nigdzie nie byli — przerywa Olivier — ich z Gdyni z dworca morskiego krewniacy zabrali wprost na stację kolejową, powieźli do swojej wsi i po miesiącu odwieźli do Gdyni z powrotem. Wielu z nich — jak organizowaliśmy wycieczkę z „Batorego" po Kopenhadze — mówiło: „Kopenhaga? A co tam można zobaczyć? Są tam wyższe domy niż w New Yorku, albo większe bogactwo w sklepach jak u nas, w Ameryce?"

— Powiedziałam im — ciąg nie doktorowa — jak mogą tak uogólniać, Polska to nie wieś..., a oni, wie pan co oni mi powiedzieli: „Pani, pani, niech się pani tak nie zapala, bo się pani spali i do Ameryki nie dojedzie! Z nami się pani będzie kłócić, z Amerykanami?! Agentka!"

Olivier klepie ją dobrotliwie po ręce — „głupich ludzi nie sieją, a rosną wszędzie..." Biedna Mała Doktorowa zagryza wargi:

— Jestem ledwie w połowie drogi, a już mam dosyć. Skąd ja wiem, ilu „głupich" ludzi tam spotkam. Doszłam do wniosku, że muszę przestać bronić (skowronków)... bo powiedzą, że przyjechałam propagandę uprawiać i jeszcze swojej własnej siostrze zaszkodzę. Jej mąż jest lekarzem w szpitalu w Toronto...

Gazeta kogoś, kto siedzi naprzeciw pod oknem idzie w dół, ukazuje się czyjaś kędzierzawa głowa (myśl: wszystko słyszał, zasłaniał się nawet), smagła twarz. To ten agent budowlanej firmy z Detroit. Agent albo współwłaściciel. Wesoły, dowcipny, stale siedzi albo w barze na dansingu, zawsze w poszukiwaniu młodych partnerek do drinka, do twista, do kąpieli w basenie... Mówi dobrodusznie:

— Madame, niech się pani nie przejmuje. Trzeba tych ludzi rozumieć. Dla nich Polska była macochą, niektórzy pamiętają dziedziczowy dwór, folwark i czworaki, zapałkę dzieloną na czworo. To są nieraz ludzie z najbiedniejszych wsi, tacy wyjeżdżali w świat, wyganiała ich z ojczyzny bieda. Ludzie z urazami...

— I teraz przyjeżdżają odbić się na naszej niepańszczyźnianej Polsce, pokazać swoje ciuchy, fotografie housów i karów, a potem wrócić do siebie i opowiadać w Ameryce, że Polska to zakuta wieś!

— Owszem... wielu z nich przyjeżdża sprawdzić, utwierdzić się w przekonaniu, że dobrze zrobili, wybierając Amerykę — mówił Olivier. — I według ich kryteriów, oni wygrali swój los.

— Pewnie — kończy agent — co to za życie! Jest byznes, jest życie, nie ma byznesu, nie ma życia.

Mała Doktorowa nie daje za wygraną:

— A myśmy wybrali Polskę i wielu z nas też ma życie. Też mamy kary, mój mąż jest lekarzem, nam się świetnie powodzi...

Nie, one nie wytrzymały. Te kobiety z hallu, które siedzą obok i mówią. Ta w żółtym swetrze z perelkami obraca się w fotelu ku nam i odzywa się głośno:

— Niech pani nie powiada głupotów. Moja siostra też jest a phisician, moja siostrzenica dentist. Dwa lekarze i dwa pokoje. Ja mam w New Yorku z mężem dom na sześć pokoje. Siedemnaście lat przysyłaliśmy siostrom żony pieniądze i paczki. Zawsze mało, zawsze nędza. I nic nie można kupić, puste sklepy. To przyjechałem i zobaczyłem. Wszystko w Polsce jest i materiały i buty, i bielizna. Wszyscy pracują i jakoś żyją bez dolarów i bez paczek. One leżą do góry brzuchami i mówią teraz — nie warto im pracować. Jak ja im przyślę sto dolarów to mnie nie ubędzie, mówią, a one mają dwa razy więcej, jakby obie pracowały po osiem godzin dziennie. Pewnie, że im się nie opłaca. Ale ja na tych sto dolarów muszę pracować. „No, my sisters! — powiedziałem — ani centa więcej!" Ja mogę zrobić prezent, ja lubię robić prezent, posłać beautiful szpilki, ładna koszulka — ale pracować, pracować! Jak będą chore, albo stare — poślę, ale tak nie! No, dosyć — chodźmy na drinka — agent kosmatą łapą zastawił przejście na wysokości piersi ładnej młodej osobie, typu skromne Dziewczę Polskie, które właśnie szło z panią Lucją z kawiarni.

Dziewczę zatrzymało się gwałtownie i ostro odsunęło rękę agenta. Zdziwił się:

— You don't want? Why? Taka ładna dziewczyna i nie chce? Crazy! (wariatka).

Napotkał opór i — zdziwił się. Patrzył za nią, wzruszając ramionami. Przypomniało mi się, co dziś w południe opowiadał nam sędzia z Rzeszowa, ten z wąsikiem, ten od Hamleta. Leżeliśmy właśnie z Lucją, Małą Doktorowa, inżynierem jadącym na Kubę i z tymi dwiema Polkami, jadącymi na zawsze do siostry w Seattle. Sędzia relacjonował opowiadanie agenta o Polsce: „Ledwie wszedłem do Bristolu w Warszawie, a już jakaś Polka z falującymi biodrami podeszła i powiedziała: „Halo, boy, are we going to drink?" „Siostro — powiedziałem (sędzia naśladował jąkanie się agenta) — jaa mógłbym cię uutopić w ddrinku, aale mi się nie ppodoobasz! Polki to są!" — sędzia powtarzał zdanie agenta. Zapytałem go — mówił sędzia — dlaczego kobiety czekające w hallach międzynarodowych hoteli na facetów z obcą walutą nazywa „Polkami", a nie dziwkami? Agent skoczył tryumfalnie: „Dolar i Buick ma nieprzepartą siłę. Nie ma w Polsce kobiety, która mu się oprze. Ile razy która mi się spodobała — zawsze ją mogłem mieć!" „Bo się panu kurwy podobają!" — tak mu powiedziałem, skończył sędzia.

W tej chwili młode dziewczę na leżaku obok Lucji poderwało się, powiedziało coś w rodzaju „wstrętna kosmata małpa!" i opadło.

To było w południe.

Teraz ta młoda osoba trzasnęła agenta w rękę. Dziewczę Polskie ratowało honor rodaczek.

Gong. Wstajemy z foteli. Idę na końcu grupki. Dochodzi do mnie kobieta w żółtym swetrze z perełkami.

— Pani słyszy, co ta doktorowa propagandzistka mówi! Niech jej pani powie, jak się u nas żyje. Jak się ludzie ubierają. Po mnie nie widzą, ja wszystko, co miałam, zostawiłam, jadę nawet bez halki, w ostatni dzień jak się ubierałam weszła córka siostrzenicy i powiedziała: „Ty mi to zostaw, ty sobie tam za parę centy kupisz". Ale po pani to ony widzą, jak się u nas żyje. You have beautiful shoes, your dress is just from Paris I think...

— No, madame, ja jestem Polką — mówię — moje buty są od szewca z Łodzi z ulicy Piotrkowskiej, a kostium z polskiej cepeliowskiej wełny... Wie pani — mówię w prostocie swego serca — zdaje się, że popełniacie jeden błąd w rozumowaniu.

— What?! — kobieta marszczy czoło, sztywnieje...

Połapuję się, że ona może mnie nie rozumieć, zaczynam używać bardziej prostych słów:

— Nie można porównywać życia w Polsce i Stanach. Choćby dlatego, że Stany mają ogromny obszar ziemi, nieprzeliczone bogactwa naturalne, rudy żelazne, miedź, cynk... Stany przede wszystkim nie przeszły tyle wojen co my. Nie można zapominać, że u nas co pokolenie to przynajmniej jedna, czasem dwie wojny. Niech pani sobie wyobrazi, madame, że przyszła wojna — nie daj Boże nikomu jej zaznać — ale przypuśćmy, że w tej przyszłej wojnie New York byłby tak zniszczony jak Warszawa, że zostałyby z drapaczy chmur i pani domu gruzy...

Kobieta w żółtym swetrze odpryskuje ode mnie. Jej małe paciorkowate oczy zmniejszają się jeszcze, stają się podobne do szpilek. Przebija mnie nimi na wskroś, przyszpili mnie nimi za chwilę do portretu Batorego; jak ona mówi, z jakim wściekłym sykiem:

— A skąd to pani wie, że z New Yorku będzie w tej wojnie gruzy. Tacyście tego pewni?!

No, teraz ja straciłam język w gębie. Co ta niewiasta wygaduje. Nie zrozumiała mnie, ale dlaczego, mówiłam przecież prostymi słowami. Nagle wpada mi myśl, ona nie rozumie „trybu warunkowego". Wyjaśniam więc:

— Pani mnie nie zrozumiała. Ja powiedziałam: przypuśćmy, że b y ł b y...

Ale kobieta ściąga usta i obraża się jeszcze bardziej:

— I understand polish, ja nie zapomniała mówić polski — bierze swoją bezbarwną sąsiadkę pod rękę

— Come on, you see, ony już wiedzą, że New York bę dzie jedna ruina. Komunist!

BERNARD KEPLER

1000 LAT WŁÓKIENNICTWA

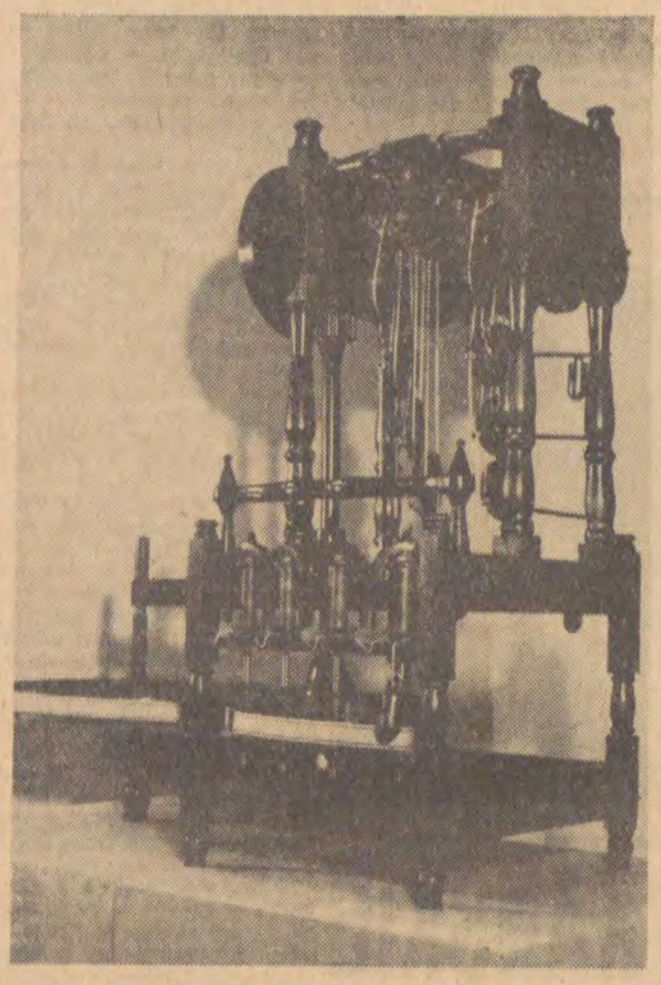

W swoim czasie, recenzując jedną z wystaw pisałem, że Muzeum Historii Włókiennictwa nie posiada stałej ekspozycji, lecz systematycznie organizuje wystawy czasowe w ramach różnych cyklów tematycznych. Obok kontynuowanego od dłuższego czasu cyklu współczesnych tkanin artystycznych — dobrze już znanego łódzkiej publiczności — wspomniałem wówczas o projekcie nowego cyklu wystaw, który obrazować miał rozwój i dzieje włókiennictwa, ze szczególnym uwzględnieniem problemów techniki włókienniczej. Od tego czasu upłynęło zaledwie kilka miesięcy, a już doczekaliśmy się realizacji tego interesującego zamierzenia. Przed kilkoma dniami bowiem nastąpiło otwarcie pierwszej ekspozycji cyklu „Historia techniki włókienniczej".

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że niemal każda wystawa organizowana przez Muzeum Historii Włókiennictwa staje się wydarzeniem kulturalnym w naszym mieście. Rzecz to o tyle naturalna, iż decydują o tym zarówno wysoki poziom wszystkich eksponowanych tu wystaw, jak i fakt, iż nie ma chyba w Łodzi drugiej placówki kulturalnej równie ściśle związanej z charakterem i tradycjami naszego miasta, co Muzeum Historii Włókiennictwa. Zgodnie więc z przewidywaniami, otwarta ostatnio wystawa, nosząca nazwę „1000 lat włókiennictwa" jest niewątpliwie ewenementem nowego sezonu kulturalnego w Łodzi i jeszcze jednym dużym osiągnięciem Muzeum Historii Włókiennictwa.

O sukcesie zadecydował tu w głównej mierze nieco odmienny niż zazwyczaj charakter tej ekspozycji, bo przecież świetne przygotowanie, niezaprzeczalne wartości poznawcze i doskonały poziom, jakie cechują te wystawę — to stałe atrybuty wszystkich ekspozycji Łódzkiego Muzeum.

Dotychczasowe wystawy były w przeważającej większości ekspozycjami najrozmaitszych odmian tkactwa artystycznego. Dominującym eksponatem była tam zawsze tkanina, zaś sprawy techniczno-produkcyjne należały tylko do „otoczenia" wystawy, stanowiły jej oprawę, były rodzajem klamry spinającej całość ekspozycji. Zdecydowanie odmienny jest natomiast profil wystawy „1000 lat włókiennictwa". Ukazano tu w sposób niezwykle interesujący i sugestywny tysiącletnie dzieje rozwoju tej dziedziny działalności ludzkiej. Posłużono się jednak przy tym nie jak zwykle tkaniną, lecz środkami jej wytwarzania. Tutaj wszystko rozgrywa się w sferze zagadnień czysto technicznych, związanych z samą produkcją. Wystawa ma więc charakter nie tyle artystyczny, ile dydaktyczny i poglądowy. W oparciu o bardzo bogaty materiał ikonograficzny, często unikalny, przedstawiono długotrwały proces rozwoju włókiennictwa, od form najbardziej prymitywnych, aż po najnowsze osiągnięcia techniczne w tej dziedzinie.

Zgodnie z chronologią dziejów włókiennictwa i układem kompozycyjnym wystawy zacznijmy nasze krótkie omówienie tej ekspozycji od techniki włókiennictwa wczesnośredniowiecznego, a więc od włókiennictwa w okresie gospodarki naturalnej, nastawionej na zaspokojenie potrzeb wyłącznie własnego gospodarstwa, posługującej się prymitywnymi narzędziami, o niewielkiej wydajności. Większość eksponatów tej części wystawy pochodzi z wykopalisk archeologicznych w Gdańsku. Są tu więc prymitywne, wczesno-średniowieczne narzędzia (przęślice, wrzeciona, itp.) próbki tkanin wykopaliskowych z Gdańska i W. Nowgorodu (X—XIII w), dwa zrekonstruowane z fragmentów wykopaliskowych krosna pionowe, charakterystyczne dla tego okresu historycznego, rekonstrukcje tkanin wykopaliskowych z Gdańska wg. wzorów i dokumentacji Muzeum oraz niezwykle bogaty materiał ilustracyjny zaczerpnięty z wiekowych manuskryptów, kodeksów iluminowanych oraz najdawniejszych ksiąg drukowanych. Ten fragment wystawy zamyka XII-wieczne krosno poziome, zrekonstruowane na podstawie fragmentów krosien pochodzących z gdańskich wykopalisk.

Wprowadzenie w Europie krosna poziomego, a w ślad za nim postęp w całokształcie techniki włókienniczej umożliwiło przejście od produkcji gospodarki naturalnej do drobnotowarowej. Pod wpływem wprowadzenia krosna poziomego, które piętnastokrotnie zwiększyło wydajność produkcji, nastąpił również postęp w przędzalnictwie i procesach przygotowawczych. Tym właśnie problemom poświęcono kolejny fragment wystawy. Zwracają tu przede wszystkim uwagę rozmaite rodzaje kołowrotków, różne narzędzia, którymi posługiwano się w procesach przygotowawczych (szczotka folarska, nożyce postrzygackie) — wszystko autentyczne eksponaty wykopaliskowe. Jest tu także świetnie odtworzony słynny kołowrotek konstrukcji Leonardo da Vinci, makieta folusza poruszanego kołem wodnym, pierwszej w całym tego słowa znaczeniu maszyny włókienniczej, dalej kilka gablot zawierających XVIII-wieczne księgi ilustrowane dużej klasy stalorytami (zbiór niezwykle cenny i rzadki), wreszcie fotografie cudownych witraży z Amiens, ukazujących poszczególne fazy produkcji tkaniny.

Największa część wystawy poświęcono przemysłowi włókienniczemu w okresie kapitalizmu. Nadzwyczaj interesujące są tu zwłaszcza XVIII-wieczne eksponaty maszyn i urządzeń obrazujące początki mechanizacji procesów wytwórczych, a wśród nich przede wszystkim krosno z biblem skrzynkowym wynalezione w 1733 roku przez Johna Kaya. Podstawę do pełnej mechanizacji włókiennictwa dały jednak dopiero dwa odkrycia z sześćdziesiątych lat XVIII wieku — w 1765 roku James Hargreaves skonstruował samoprzędnicę zwaną „Mull Jenny", a w cztery lata później jego rodak Ryszard Arkwright opatentował samoprzędnicę zwaną „water machine". Znajdujący się na wystawie autentyczny egzemplarz pierwszej z tych maszyn pochodzi z nieco późniejszego okresu, ale dodać tu warto, iż w Europie poza tym są tylko jeszcze dwa takie eksponaty.

Dalsze wynalazki i ulepszenia przynosi wreszcie wiek XIX. Nie sposób tu jednak wymienić wszystkich zgromadzonych na wystawie typów zgrzeblarek, czesarek i innych maszyn włókienniczych pochodzących z tego okresu. Co najwyżej jako ciekawostkę wspomnieć tu jeszcze można o dwu krosnach do niedawna pracujących w łódzkich fabrykach. (Jedno z nich w latach 1910—60 znajdowało się w ZPW im. W. Łukasińskiego w Łodzi).

Ostatni wydzielony fragment wystawy pokazuje włókiennictwo okresu ostatniego. Ten najnowszy etap historii techniki włókienniczej obrazują liczne fotografie nowoczesnych maszyn włókienniczych oraz makiety wybudowanych po wojnie zakładów włókienniczych.

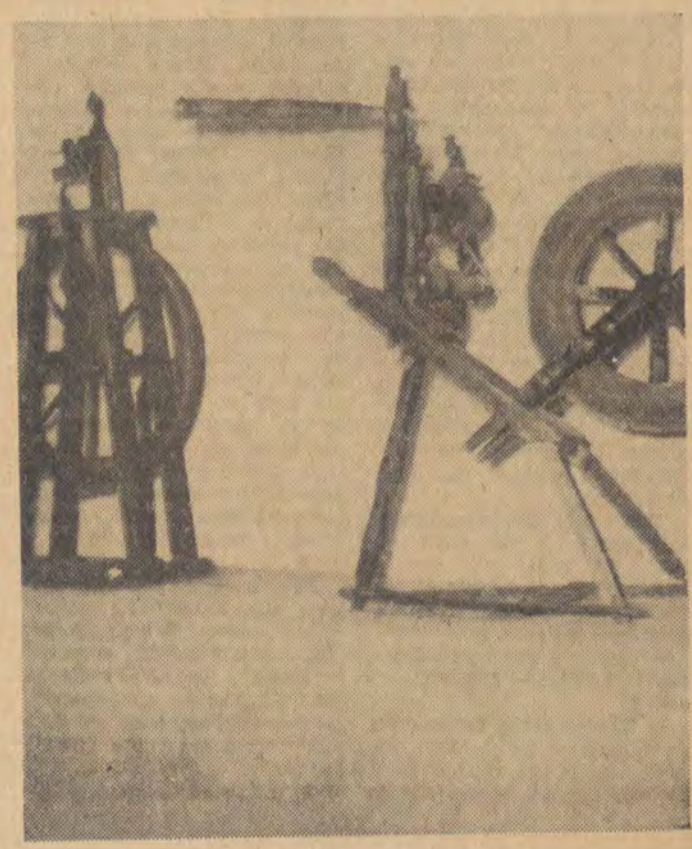

TADEUSZ GICGIER

SATYRY

DOJMY RZECZPOSPOLITĄ

„Dojmy rzeczpospolitą!" — pisał pan Klonowic
w tym wezwaniu nad podziw bystry dalekowidz,
bo choć przed trzystu laty wyśpiewał to zdanie —
bliską nutą pobrzmiewa dziś jego śpiewanie.

„Dojmy rzeczpospolitą, rzeżmy złote grona,
Wszak bogate winnica, nabrane wymiona".
Do tych wymion, rodacy, ściśle się przypnijmy,
ssijmy mocno, namiętnie, umiejętnie ssijmy!

„I dziś między chciwymi są takowe głosy:
Żnijmy złotą pszenicę, żnijmy złote kłosy".
Sierpem, kosą, czym da się i gdzie tylko da się,
albowiem kto nie kradnie, ten się nie pasie.

Krojmy, rwijmy zaciekle na kawałki skórę,
bo to państwo cierpliwe jako mało które.
Azaż mamy dopuścić, by kwitło i rosło?
Już je z kiełków oskubie to nasze rzemiosło!

Dojmy rzeczpospolitą, dojmy ile wlezie,
nie ustawajmy nigdy w tej chlubnej imprezie!
Chociaż żmudne zajęcie, trza biedzić się zawżdy,
przecię każdy ma profit i pożytek każdy.

A że inni też łupią, szkaradni zuchwalce?
Oni się patrzą na nas, my na nich przez palce.
Nie godzi się o żłoby swarzyć, przyjaciele —
zjednoczmy wżdy prawice w naszem zbożnem dziele!

Szarpmy, drapmy dobytek narodowy wszytki,
obedrzyjmy ojczyznę do ostatniej nitki.
Siły nasze i chwyty w jeden chwyt zestrojmy,
dojmy rzeczpospolitą, umiejętnie dojmy!

Z tomu satyr i fraszek pt. „Moje boje", który ukaże się nakładem Wyd. Łódzkiego.

JAK OGLĄDAĆ PROGRAM TELEWIZYJNY

Chociaż na telewizję psioczy ten i ów,
żyć bez telewizora dzisiaj nie wypada.
Gdy jednak chcesz być modny i być przy tym zdrów,
namów na jego kupno swojego sąsiada.
Powiedzmy, sąsiad kupił. Telewizor gra mu.
Odtąd „wszyscy jesteśmy sędziami"... programu.
Możesz oglądać program co dzień bez żenady,
ale przyjmij „Nervosol" — i me dobre rady.

Jeśli sąsiad ma córkę, to z nią dla nauki
oglądaj cykl audycji: „Jak patrzeć na dzieło sztuki",
albo „Misia z okienka", „Myszki Miki Klub".
Gdy masz kruche ciasteczka, no to wypiek chrup!
Przychodź na każdą „Kobrę", ale się nie staraj
wskazać, kto jest mordercą — zrobi to ofiara
lub autor (a nie muszę ci chyba dowodzić,
że to w przypadku „Kobry" na jedno wychodzi).

Nie złość się na awarie: ten tylko się pieni,
kto nie wie, że to zwykle „historie z tej ziemi",
ot, brak dźwięku — chwilowy — gdzieś na trasie łącz...
Gdy łącza się połączą, ty w akcję się włącz.
Chyba, że już nie zdzierżysz. To wtedy pięściami
rozbij grat w ramach cyklu „Zrobimy to sami".
I sąsiad twój rad będzie, i żona sąsiada,
że ich wreszcie ominie „niedzielna biesiada".

KOMPLEKSIARZE

Kompleks w modzie na Zachodzie,
więc i w polskim stąd narodzie.

Marnyś pisarz, marnyś malarz,
gdy w kompleksach się nie walasz.

Na nic trudy, potu kropla,
skoro nie masz, chłopie, hopla.

Bowiem ceni dziś krytyka:
kompleks, szmergla, chysia, bzika.

❖

Jeden (to wybraniec bogów)
wszędzie węszy swoich wrogów.

Ci wrogowie za nim chodzą
i mu ustawicznie szkodzą.

Drugi, z tejże samej racji,
żyje w ciągłej izolacji.

Różne go nachodzą fobie,
on też szkodzi, ale sobie.

Trzeci, że go niszczą wrogi,
stale im podstawia nogi.

Gdy się mocno zacietrzewi,
komu szkodzi, sam już nie wi.

❖

Znasz kobietę, pełna sexu:
odpada, bo bez kompleksu.

Nęci inna cię dziewczynka:
też wysiada, nie ma „młynka".

Niewieściego szukaj typa
choćby z kompleksem Edypa.

Czyś adonis, nie adonis,
błagam, nie idź na kompromis.

Takiej tylko całuj rączki,
która w głowie ma zajączki.

❖

Kompleksiarzy rośnie rzesza,
nowego trzeba Mojżesza.

Niechaj stuknie laską w morze
tych stukniętych, niech pomoże.

Wtedy my do niego: prowadź,
bo nie chcemy się zwariować.

FRASZKI

KONIECZNOŚĆ

I mannę z nieba
też zbierać trzeba.

BOHATER

Dzieckiem w kolebce on łeb urwał hydrze,
ale na starość uległ jednej wydrze.

KSIĘGI PIELGRZYMSTWA

Zmienił kostur pielgrzyma
na dziesięć zegarków „Cyma".

DOBRE

Dobre i Madeja łoże,
kiedy na nim dziewczę hoże.

NAWET

Nawet najwytworniejsza dama
pójdzie na łono Abrahama.

BARDZIEJ

Praktykujące panie
bardziej iść są skore
na księżą plebanię,
niż księżą oborę.

Dalszy ciąg ze str. 1

jednostkę łączy się ze wzrastającą płyciną tych wiadomości". W tym jednym genialnym zdaniu zaatakowane są i nasze wiadomo jak bardzo przeładowane różnorodnymi przedmiotami programy szkolne i zarazem nasze chcące sprostać niesłychanie licznym i chaotycznym zaleceniom i nakazom tych programów podręczniki szkolne.

Przejrzałem w ostatnich tygodniach kilkanaście takich podręczników szkolnych do nauki literatury i do nauki historii — i odetchnąłem z ulgą, że już nigdy w tym życiu nie będę uczniem.

Ta biedna młodzież! Czego to ona nie musi upchać do tej swojej głowy? Tu nawet pojemność nie tylko cebra, ale nawet olbrzymiej kadzi czy okseftu nie wystarczy-

TA BIEDNA MŁODZIEŻ!

łaby na zawarcie tego bezmiernego i niewymiernego wprost chaosu mętnych i sprzecznych wiadomości. Oto podręcznik dla klasy X Zofii Bogusławskiej pt. „Literatura okresu pozytywizmu i realizmu krytycznego. Antologia i opracowanie". We wstępie na czterech i pół stroniczkach druku mamy scharakteryzowane „Stosunki ekonomiczno-społeczne na ziemiach polskich po roku 1864". We wszystkich trzech zaborach, w każdym odmienne. Okazuje się, że pomimo iż we wszystkich trzech zaborach było źle, bo była niewola narodowa, to jednak było bardzo dobrze, bo w Królestwie Polskim rozwinął się przemysł i kapitał, w Wielkopolsce rolnictwo, a w Galicji „największa niezależność polityczna" (dosłownie!). Ale nie ma tego złego, co by na dobre, a tego dobrego, co by na złe nie wyszło. Bo oto w Królestwie Polskim i Wielkopolsce pod wpływem ucisku narodowego i ekonomicznego wzrastał w liczbę proletariat i mnożyły się chłopskie siły oporu w postaci wozów Drzymały, a w Galicji ta „największa wolność polityczna" spowodowała powstanie teorii trójlojalizmu, haniebny serwilizm i ugodowość. Powstaje więc dylemat: czy niewola narodowa była właściwie czymś dobrym czy złym dla Polski? Biedny uczeń staje bezradny wobec tego dylematu. I ja też. Konflikt trzeźwego rozumu i sumienia patriotycznego nie do rozwikłania. Tak oto zaszczepia się w psychice ucznia pierwszego wirusa schizofrenii.

Ale idźmy dalej, bo przestudiowaliśmy dopiero cztery i pół strony z tego podręcznika liczącego około 300 stron. W rozdziale zatytułowanym „Kierunki filozoficzno-naukowe na zachodzie Europy w drugiej połowie XIX wieku" na trzech stroniczkach znajdujemy wykład teorii Comte'a, Milla, Spencera, Darwina i Hipolita Taine'a, przy czym czytamy, że „pozytywizm Comte'a i empiryzm Milla" to „dwa podstawowe kierunki filozofii burżuazyjnej połowy XIX wieku", zaś „kierunkiem antagonistycznym, nowym i twórczym był **materializm dialektyczny"** (pokreślenie autorki) Marksa i Engelsa. I oto drugi dylemat: jeżeli jedynym kierunkiem nowym i twórczym był materializm dialektyczny, a pozytywizm i empiryzm były kierunkami burżuazyjnymi, to do którego z tych kierunków zaliczyć teorię Darwina, Spencera i Taine'a? Autorka tego nie objaśnia, ani nie wyjaśnia. Uczeń staje wobec tego dylematu bezradny. I ja też. Konflikt wewnętrzny rośnie. Przybywa nowy wirus.

Ale idźmy dalej, to znaczy do następnego rozdziału zatytułowanego: „Główne kierunki literackie epoki". Tym razem na czterech (i ćwierć) stronicach mamy omówioną literaturę Francji, Rosji i Anglii (dlaczego akurat w takim porządku?) z omówieniem i charakterystyką twórczości Stendhala, Balzaka, Flauberta, Zoli, Maupassanta, Turgieniewa, Dostojewskiego, Tołstoja i Dickensa. I to wszystko na czterech (i ćwierć) stronicach! Nic więc dziwnego, że o Dostojewskim mogła autorka powiedzieć tylko tyle: „Szeroki rozgłos zarówno w Rosji, jak i poza jej granicami, zdobył wielki znawca życia rosyjskiego, który z nieporównaną przenikliwością i realizmem odsłaniał najbardziej ukryte tajniki duszy ludzkiej". I uczeń się zastanawia (ja też), czy akurat tak samo nie dałoby się napisać o Tołstoju i Turgieniewie, a nawet identycznie o Dickensie, o Flaubercie i Stendhalu, a zwłaszcza o Balzaku? A poza tym rodzi się nowy dylemat: jeżeli Dostojewski, jak twierdzi autorka, jest „wielkim znawcą życia rosyjskiego, który z nieporównaną przenikliwością itd.", to w takim razie jakim znawcą i czy w ogóle jest nim Tołstoj? I Turgieniew? A co sądzić o ich „przenikliwości", skoro przenikliwość Dostojewskiego jest „nieporównana"? Autor-

ka tego nie wyjaśnia. Uczeń staje wobec tego dylematu bezradny. I ja też. Konflikt wewnętrzny groźnie narasta. Przybywa trzeci z kolei wirus.

Ale idźmy dalej... e..: chyba nie! Przerwijmy tę przykrą zabawę. Dodajmy tylko, że na dalszych trzech stroniczkach omówione jest „Malarstwo polskie w drugiej połowie XIX wieku" z Simmlerem, Rodakowskim, Juliuszem Kossakiem, Grottgerem, Matejką, Szermentowskim, Kotsisem, Gersonem, Chełmońskim i obu Gierymskimi na czele, zaś „Teatr polski" na półtorej, „Muzyka polska" na jednej stroniczce, a będziemy mieli jakie takie wyobrażenie o tej przedziwnej kostce bulionowej, o tym genialnym koncentracie wiedzy o literaturze i kulturze (tudzież filozofii) polskiej i europejskiej drugiej połowy XIX wieku!

Ale na tym tortura ucznia (i nasza) się nie kończy. Bowiem obok podręcznika do „Literatury okresu pozytywizmu i realizmu krytycznego" obowiązuje go w tej samej klasie opanowanie wiedzy z innego podręcznika, a mianowicie „Historii literatury polskiej okresu romantyzmu", opracowanej przez panów: Jerschinę, Liberę i Sawrymowicza. Wyobrażacie sobie, moi państwo, tę wiedzę? Zawsze to, co trzy głowy, to nie jedna! Nie dziw więc, że uczeń staje przed potrójnym naraz problematem: 1) jak opanować w ciągu roku tę olbrzymią wiedzę? 2) jak wtłoczyć ją do głowy o bądź co bądź ograniczonej pojemności, w której musi się jeszcze znaleźć miejsce na co najmniej historię, matematykę, fizykę i chemię? 3) jak uładzić w głowie tę całą chaotyczną mieszaninę różnych sprzecznych ze sobą elementów wiedzy, ażeby nie zachwiać naturalną równowagą umysłu i nie zwariować?

A jednak uczniowie nie wariują. Więc co robią? Po prostu tej monstrualnej papki, tej zjełczałej mazi nie trawią, a jeżeli z musu połykają, to natychmiast wymiotują, nie wracając już potem nigdy do zagadnień tzw. literatury. Z czasem uraz staje się dziedziczny, przechodząc z rodziców na dzieci.

Jakże przerażająco trafnie brzmią na tym tle dalsze słowa znakomitego uczonego we wspomnianej „Cybernetyce i społeczeństwie": „Nasze szkoły elementarne i średnie bardziej zajmują się formalną szkolną dyscypliną, niż dyscypliną umysłu, osiąganą przez nauczenie czegoś w sposób dokładny".

To tyle o programach i tyle o podręcznikach, dotyczących tylko jednej dziedziny nauki w szkole: literatury. A co powiedzieć o innych działach? Mógłbym z kolei przewentylować tak samo podręczniki do historii. Ale zostawiam tę smutną rozkosz bardziej kompetentnym ode mnie specjalistom. Mnie wystarcza tymczasem przykład z podręcznikami do nauki o literaturze, ażeby uderzyć na alarm. Podręczników jest mało, podręczników często nie ma, a te, które są — są złe. Stają się torturą dla uczniów, a udręką dla nauczycieli, zaś szkodą niepomierną i nigdy niepowetowaną dla literatury. Zarówno tej w przeszłości, jak współczesnej, no i zwłaszcza tej w przyszłości. Dlatego nauczyciele muszą z całą przykładną odwagą stanąć do walki z tymi podręcznikami, a także z niepraktycznymi, bo nieżyciowymi, programami szkolnymi. Oczywiście muszą tę reformę czy też nawet po prostu rewolucję wewnętrzną zacząć od siebie.

Zdarza się bowiem często i tak, że nauczyciel bimba sobie cały problem rzetelności nauczania nie gorzej od ucznia. Wtedy podręcznik jest mu obojętny. Sam nie ma do niego żadnego stosunku. Ani do ucznia. Zakreśla mu paznokciem w podręczniku, co skąd dokąd ma do egzaminu odwalić.

Ta biedna młodzież! Jak ma wybrnąć z dręczącego ją niby koszmar dylematu: należnego szacunku dla tych, którzy ją uczą, i nieodpartej pogardy dla tego, jak i z czego ją uczą? Na razie stoi wobec tego dylematu bezradna. Ale ani wam, ani nam nie wolno wobec tego dylematu stanąć bezradnie. Wam, to znaczy twórcom programów szkolnych, podręczników i nauczycielom oraz nam, twórcom literatury. Albowiem groźny konflikt wewnętrzny i zewnętrzny w niej, tej młodzieży, narasta. Mnożą się w niej wirusy już nie tylko samej schizofrenii, ale czegoś bardziej jeszcze na przyszłość niebezpiecznego, choć oczywiście nie zawsze j u t r o jest takie, jakie jest d z i s i a j. Za to jutro jednak odpowiedzialna będzie nie tylko młodzież, ale i wy, jej nauczyciele i wychowawcy.

MARIAN PIECHAL

JERZY WALEŃCZYK

POWIEŚĆ ŁÓDZKA

czyli GALVANI i ŻABIE UDKO

Generalne fiasko, jakie stało się udziałem zarówno organizatorów konkursu na powieść o Łodzi jak i tych, którzy nadesłali materiały na konkurs, skłania do niejakich refleksji, na temat tzw. powieści o Łodzi. Powieść łódzka to pojęcie bardzo mętne i bałamutne i z całą pewnością można stwierdzić, że używając tego pojęcia nie bardzo jest wiadomo o co tu chodzi. Nie pretendując do definitywnych rozstrzygnięć spróbuję odnaleźć niektóre cechy takiej powieści.

Niejasne wyobrażenie o nurcie plebejskim, który miałby być mile widzianym przez jurorów, nasuwa myśl, że organizatorzy konkursu wyobrażali sobie powieść raczej historyczną, jakkolwiek z tzw. niedawnej przeszłości. Jeśli chodzi o czas akcji to oczywiście kiedy mowa o nurcie plebejskim należałoby go plasować w okresie rewolucji 1905—1907, względnie w dwudziestoleciu międzywojennym. Oczywiście pierwsze lata po drugiej wojnie światowej wchodzą również w grę.

Klęska konkursu jest bez precedensu w historii konkursów literackich w Polsce od roku 1945 i zmusza do poważnego zastanowienia się nad sytuacją.

Istnieją dwa aspekty, dwa warunki sine qua non dla powstania powieści o Łodzi: pierwszy formalny, drugi merytoryczny. Formalny to znaczy finansowy. Merytoryczny, to znaczy talent, znajomość rzeczy i gotowość zawarta w naturalnych inklinacjach do podjęcia takiego tematu. Warunek formalny jest nierozerwalnie związany z merytorycznym. Tymczasem, kiedy przed kilku laty literaci łódzcy alarmowali aby zadbać o ten aspekt, spotkali się z chłodnym i obojętnym przyjęciem. Zacznijmy od strony czysto technicznej: napisanie ośmiu arkuszy to znaczy 160 stron, przy bardzo intensywnej pracy kosztuje 160 dni to znaczy uogólniając 6 miesięcy pracy przy absolutnym wyrzeczeniu się jakichkolwiek innych prac marginesowych, drobnych, bo te absorbują i odciągają od pracy centralnej...

Oczywiście to teoria. Nikogo w tej chwili w Łodzi nie stać na to, aby rzucił to co mu daje chleb codzienny i poświęcił się wyłącznie pisaniu powieści w ciągu sześciu miesięcy.

Oczywiście, strona formalna zostaje stroną formalną i absolutnie nie rozstrzyga o walorze artystycznym takiej powieści.

Powieść typu panoramicznego, trafiająca w sedno łódzkiej problematyki, to znaczy pokazująca rolę klasy robotniczej w naszym mieście jest dzisiaj prawie niemożliwa, a w każdym razie bardzo trudna. Dlaczego? Dlatego, że hierarchia problematyki jest zbyt wysoka, skomplikowana, nazbyt obramowana wieloma determinantami, aby pióro pisarza mogło się z całą swobodą twórczą poruszać i rzeczowo penetrować teren.

Próba określenia stosunku klasy robotniczej do jej narzędzi produkcji w kategoriach artystycznych byłaby piękną pracą nowatorską, ale jak każde przedsięwzięcie nowatorskie wymagałaby klimatu zrozumienia i sympatii. A tu wypada się uśmiechnąć. Nie chodzi o to, abym a priori upatrywał tu i ówdzie złą wolę. Po prostu istnieją przesłanki historyczne, dzięki którym nie powstanie w Polsce powieść rangi Flauberta, ani jakakolwiek mutacja estetyki Zoli. Czy zresztą o to chodzi? Na pewno nie.

Istnieje bogaty teren, płodny w realia i procesy psychologiczne, w tło realistyczne, na który można by zwrócić uwagę. Jest to teren jednak ograniczony hierarchią problematyki.

Jakkolwiek mutacja powieści pozytywistycznej jest dzisiaj anachroniczna i jeżeli ktoś do niej tęskni, musi zdać sobie sprawę z tego, że są to kategorie estetyczne, których dzisiaj nie da się zgalwanizować pod piórem kierowanym pełną świadomością przemian powieści europejskiej ostatnich lat. Zbyt daleko posunięte jednak zindywidualizowanie i zsubiektywizowanie treści przedstawieniowych również nie dałoby pożądanych rezultatów. Ale powieść panoramiczna, pojęta jako wieloaspektowa, oglądająca rzeczywistość łódzką z wielu punktów widzenia, to znaczy z punktów widzenia wielu środowisk, nęci szansą zbliżenia się do istoty egzystencji Łodzi.

Powieść środowiskowa o Łodzi jest możliwa i można ją sobie wyobrazić. Miałbym tylko jedno zastrzeżenie: powieść nie sięgałaby po panteistyczną wszechwiedzę, skromnie ograniczając się do świadomości grupy socjologicznej i świadomości jednostki.

Jeżeli się odrzuci model powieści panoramicznej z różnych względów, a przede wszystkim z tych, z których powieść europejska i amerykańska odrzuca ten model (np. w Ameryce nikt dzisiaj nie pisze powieści na wzór Manchattan Transfer Doss Passosa), wariantów powieści środowiskowej będzie wiele. Gama tez socjologicznych czy psychologicznych jest olbrzymia.

Oczywiście, istnieje coś takiego co można by nazwać łódzką racją stanu. Ta łódzka racja stanu posiada wiele momentów newralgicznych.

Powieść łódzka implikuje scenerię łódzką. Może bardziej niż problematykę. Scenerią, więc opis. Opis we współczesnej powieści stracił sens funkcjonalny. Może przede wszystkim przez to, że dawniej były to opisy statyczne, fotograficzne, jakkolwiek sugerowały zawartą w cząstkach strukturalnych i symbolikę i ładunek emocjonalny.

Opis jednak zgalwanizowany mógłby ujawnić nieznane dotąd w prozie nowe prawa estetyczne. Ale, oczywiście, byłby tutaj potrzebny Galvani i udko żabie.

Ten np. co podjąłby się opisu pracy w farbiarni jednej z łódzkich fabryk natychmiast wpadłby w starą banalną konwencję, jakkolwiek budzącą szacunek swoją długowiecznością.

Dzisiaj młody pisarz musiałby, przy maksymalizmie pisarskim, wszystkie elementy strukturalne takiej powieści przemyśleć na nowo. A jest to praca gigantyczna, wymagająca wielu zdolności.

Zakładam model, bo w naszych warunkach umysłowych i obiektywnych świadomość istnienia takiego modelu odsuwa zbędne złudzenia. Po prostu, od kilkuset lat w orbicie polskich asocjacji językowych, nie wyrósł żaden model estetyczny dla Europy. Stąd mój, jak sądzę, rozsądny sceptycyzm.

Cały dowcip zaczyna się w tym momencie, ponieważ wymienione modele są jak najbardziej nieadekwatne do tego typu powieści, którą nazwałem łódzką.

Ogrom pracy intelektualnej polegałby więc na jakimś rozsądnym kompromisie estetycznym, kompromisie środków wypowiedzeniowych. Ale taki kompromis pociąga za sobą często kompromis etyczny. A to po prostu już nie ma nic wspólnego z dziełem sztuki. O co mi chodzi? Jeżeli odrzucę momenty utylitarne takiej powieści, to znaczy publicystyczne, przede wszystkim, ogrom pracy przesunie się na znalezienie najbardziej adekwatnych form dla pokazania Łodzi i jej konfliktów, a przynajmniej, co wydaje się najbardziej realne — jej differentia specifica.

To, co się nazywa bohaterem pozytywnym, jest trudne do przewidzenia. Bohater pozytywny, to znaczy zwycięski, kroczący jak Wokulski naprzód, jest raczej niemożliwy. Ale w naszej konfiguracji psychicznej wystarczy, jeżeli jedna naczelna pozytywna cecha znalazła się w konstrukcji takiego bohatera, aby bohater taki mógł stać się emanacją pozytywnych wartości.

Sądzę, że takiego bohatera można by z powodzeniem znaleźć w kręgach młodej łódzkiej inteligencji. Zarówno inteligencji technicznej jak i humanistycznej. W każdym razie rafy i mieliźny są liczne, ale można by z powodzeniem opracować ich topografię i w ten sposób przewidzieć ich położenie.

Bohatera zresztą można by znaleźć wszędzie tam, gdzie broni się wartości humanistycznych, ludzkich, przeciwko takim czy innym próbom ich deformacji.

Może z tego co powiedziałem, wynika, że zajmuję maksymalistyczną pozycję. Tak. W każdym razie powieść środowiskowa w scenerii łódzkiej eksponująca obraz nowych stosunków etycznych dzisiejszej moralności, jej powiązania, korelacje, mechanizm i determinanty, powieść eksponująca obraz nowych ambicji wymagałaby ścisłego związku z wieloma płaszczyznami dnia dzisiejszego.

Sądzę, że od modelu powieści — worka, jak go nazwał Witkiewicz, dawno odbiegliśmy. Wzór faulknerowski jest już anachroniczny, chociaż godny szacunku, monumentalny — a cóż dopiero mówić o bohaterskim, harcerskim eposie Hemingwaya.

Stare środki strukturalne, tradycyjne związki, nie otwierają dzisiaj żadnych perspektyw młodemu prozaikowi.

Problematyka nowych horyzontów etycznych, nowych konfiguracji społecznych, pokazująca to co nowe i to co stare, problematyka nowego klimatu metafizycznego — to Nomands Land powieści łódzkiej, którą widzę właśnie w tym kontekście.

Ale nie chodzi mi o recepty. Nie mam zamiaru takiej recepty preparować. Nie mam zamiaru również proponować komukolwiek napisanie powieści ambicjonującej się w dotarciu do tego, co Amerykanie nazywają The Primary Evidence. Ale mogłaby to być chociaż akcesoryczna, organiczna całość przenosząca poprzez lata zarówno nasz czas wewnętrzny, jak i nasz czas konwencjonalny, obiektywny.

EWA OSTROWSKA

KAWIARNIA *czy* INSTYTUT PEDAGOGICZNY?

PYTAM, KTO NIE WYCHOWUJE?

Pytam nie bez powodu. Na dobrą sprawę coraz trudniej znaleźć instytucję, której nie powierzano by trudnej pracy wychowania młodzieży. Rozumiem — dom rodzinny, szkoła, ZMS, TPD, ZHP, rozumiem — kluby kulturalne, towarzyskie, sportowe, książka, film, telewizja, teatr, można by wymieniać całymi dziesiątkami. Pewnie, odpowiedzialność za wychowanie spada na wszystkich. Ale niejednakowo. Czy można postawić znak równania pomiędzy szkołą i Spółdzielnią Pracy „Jutrzenka Przyszłości"? Między Domem Kultury a zakładem żywienia zbiorowego? Między domem rodzinnym a powiedzmy — kawiarnią, w której młodzież chętnie bywa? Właśnie o te kawiarnie najbardziej mi chodzi, ponieważ podnoszą się głosy, w prasie również, że za to, co się z młodzieżą dzieje, odpowiadają pracownicy kawiarni i w związku z tym trzeba będzie otworzyć specjalne studia i prowadzić wykłady z dydaktyki kawiarnianej. Tak można, między innymi, rozumieć drukowane w sierpniu i we wrześniu reportaże A. Brychta w „Odgłosach".

Bardzo mi się nie podoba takie beztroskie poszerzanie frontu wychowawczego, wiadomo przecież ile szkód może wyrządzić, często w najlepszej wierze, pedagog od siedmiu boleści, stosujący kuchenne wyrobnicze chwyty pedagogiczne. Przecież nawet rodzicom odbiera się prawo do wychowania dziecka, często nawet ukochanego dziecka. Jakże wobec tego można lansować poglądy, że każdy pracownik państwowy i spółdzielczy musi i powinien wychowywać? Jest to sztuka zbyt trudna, aby ją każdemu powierzać dlatego tylko, że otaczają go niewychowani młodzieńcy.

Powiadam więc, że jest to niemożliwe i postaram się na przykładzie naszych łódzkich kawiarni tego dowieść.

STAWIAM KROPKĘ NAD „I"

Także nie bez powodu. Gastronomiczna porcelana nie jest ani saska ani rosenthalowska nie pochodzi też z Meissen. Już sam wygląd zewnętrzny naszych kawiarń mimo woli zmusza do stwierdzenia, że wszystko w nich można robić, tylko nie wychowywać. Część z nich w ogóle na to miano nie zasługuje, wygląda jak skrzyżowanie poczekalni dworcowej z dawno nie używaną łazienką. ŁZG zdają się nie rozumieć, że to co nazywamy estetyką, kulturalnym wnętrzem, stanowi istotny czynnik wychowawczy. Inaczej zachowuje się człowiek w stajni, inaczej w nowoczesnym i eleganckim pomieszczeniu. Dlatego myślę, że lepiej byłoby polikwidować takiego gatunku zakłady jak „Iryś", jeżeli dyrekcji ŁZG nie starcza funduszy na ich kapitalny remont. Poza nielicznymi kawiarniami („Agawa", „Jedyna", „Turecka", „Staromiejska") reszta wygląda nie tylko tradycyjnie, to nie byłoby jeszcze źle, ale po prostu brzydko. „Warszawianka", która podobno przeszła modernizację, jest brzydka, jak była. W „Teince" ściany pomalowane na „żywe" kolory rwące oczy, — co ma najprawdopodobniej oznaczać „nowoczesność" kawiarni.

Względnie niedawno otworzono kawiarnię „Nowomiejską" przy ulicy Wojska Polskiego posiada, owszem, nawet taki luksus, jak fortepian, przy czym dekorację ścian stanowią tu widokówki, jakie spotyka się w wagonach drugiej klasy Polskich Kolei Państwowych, zaś sama kawiarnia sprawia wrażenie dworcowego bufetu, co — rzecz prosta — nie stanowi zarzutu pod adresem PKP. Po cóż więc otwiera się te „nowe" kawiarnie, jeżeli już z góry skazane są one na obskurność?. Czyżby Łódź cierpiała na chroniczny brak plastyków, mogących zaprojektować estetyczne wnętrza?

Personel kawiarń przedstawia również wiele do życzenia. O czym wiedzą ŁZG i czemu pragną zaradzić. Utworzono eksternistyczne Technikum Ekonomiczne, które obowiązane są ukończyć wszystkie kierowniczki kawiarń, nie posiadające średniego wykształcenia. Takich jest sporo, prawie połowa.

Tyle więc zarzutów należy postawić przed ŁZG, a i personel nie jest tym barankiem bez zmazy, zdarzają się kelnerki śpiące, nieme, głuche, ślepe, lub wręcz niegrzeczne. W tych warunkach żądanie od personelu aby działał na niwie dydaktyczno-kulturalnej stanowi postulat nie do przyjęcia.

„Egzotyczną" zalicza się do najtrudniejszych kawiarni w Łodzi. Przeszłość ma świetną, znani i szanowani ludzie w niej bawili, ale dawno to się działo, już ze cztery lata temu zaczęła się inwazja „młodych", którzy starą, tradycyjną klientelę wyparli.

Do południa i teraz panuje spokój w „Egzotycznej". Owszem, przychodzą i ci, wojownicy młodości wyzwolonej, ale światło dzienne im nie sprzyja, wolą siedzieć cicho, w oko nie wpadać. Jednak już od godziny piętnastej zaczyna się ich czas i napływ. Od godziny piętnastej zaczyna się tragedia „Egzotycznej".

Przychodzi jeden z drugim, buńczuczny, ale jeszcze trzeźwiutki i wodę sodową skromnie zamawia, a za pół godziny cud galilejski chyba sprawia, że woda sodowa przemienia się w wermut, młody buńczuczny człowiek jest bliski alkoholowego delirium. Wtedy też świat cały do niego należy. Spróbuj go wychować — a nie tylko łacinę posłyszysz.

Ubikację w „Egzotycznej" trzeba było zamknąć na kłódkę. Oto przykład jednej z metod wychowawczych — serio: po kawiarni kierowniczka buszuje, często pod marynarki podejrzanym zagląda — talentów specjalnych wymaga spijanie własnego alkoholu na sali kawiarnianej, w ubikacji te rzeczy bezpiecznie się załatwia — no więc kierowniczka co pewien czas zamyka ubikację na klucz, kluczyk wręcza na prośbę potrzebującego, a później kontrola za każdym, czy tłuczonego szkła po sobie nie zostawił.

Codziennie kierowniczka „Egzotycznej" znajduje w ustronnym miejscu po kilkanaście butelek. Niektóre, przemyślnie tłuczone, albo i w całości, do klozetu wpychane. Klozet codziennie popsuty, hydraulik, koszty własne kawiarni rachunkami obciąża.

Latem butelki znaleźć można było od strony pasażu. Panowie sadowią się niedbale przy krawędzi tarasu, a przyjaciele zaopatrują ich od ulicy w wyskokowo-orzeźwiające napoje. Taśmowa robota. I dowodów nie zostawia. Każdy przechodzień może butelkę pod kawiarnią rzucić, czy nie?

Wychowanie możliwe jest tam, gdzie da się uchwycić i zlikwidować czynniki warunkujące złe, aspołeczne i destrukcyjne postawy wychowanków. Które z tych czynników może uchwycić i zlikwidować kelnerka?

KTO PRZYCHODZI DO „EGZOTYCZNEJ"

Uczniowie szkół łódzkich, studenci, młodzież „bezprizorna", przychodzi towarzystwo wzajemnej adoracji i wszyscy mają na siebie wpływ oczywisty. Edukują się, wymieniają doświadczenia. Obyczajówka od czasu do czasu wygarnia wieczorkiem takich, których wiek wskazuje, że powinni od godziny ósmej w domu się znajdować i wkuwać przykładnie twierdzenie Pitagorasa. Ale wracają, z uporem, wciąż ci sami, stali „bywalcy". Widocznie kary wychowawcze, stosowane przez obyczajówkę, nie są groźne. Przydałyby się zresztą, częstsze przeglądy generalne naszych kawiarń. „Egzotyczna" nie jest osamotnioną sierotką, jest typowym schematem. „Teinka", „Mariolka", „Milusia", „Staromiejska", wszędzie to samo.

Do kierowniczki „Egzotycznej" często zgłaszają się rodzice młodocianych amatorów cudownej wody sodowej. Proszą o pomoc. „Niech pani wyrzuca bez pardonu", mówią, zostawiają swoje telefony, adresy, aby w razie potrzeby zawiadomić dom. A przecież kierowniczka kawiarni nie posiada prawa legitymowania swoich konsumentów. Młodociany, niemłodociany — na twarzy znaku nie nosi, że jego wiek pozostaje w rażącej kolizji z przepisem: „Młodzieży do lat osiemnastu przebywanie w kawiarni po godzinie dwudziestej wzbronione". Przepis genialny, ustala górną granicę wieku, natomiast o tej dolnej, — od ilu lat wolno młodzieży przebywać w kawiarni, nie mówi znakomity przepis, gdyż aby komuś udowodnić, że liczy mniej lat — niż ten przepis ustala — trzeba go wylegitymować, do czego kierownik lokalu prawa nie ma. Powiadam tedy — żądanie zabiegów wychowawczych o charakterze porządkowym, dające przynajmniej odpowiednie uprawnienia. Nakaz bez możliwości egzekucji, jest pobożnym życzeniem, jest pacierzem.

Wśród obijającej się po kawiarniach młodzieży rej wodzą „bezprizorni". Nie pracują, nie uczą się, a żyją. Nie wiemy, ile jest takiej młodzieży w naszym mieście, nikt jej nie policzył, jakby to ważne nie było, ale chodzi o tysiące, to pewne. „Bezprizorni" ugruntowali już obyczaj zwracania się do siebie osobliwymi pseudonimami w rodzaju „Puszkin", „Jurek-Bandyta" itp. A ponieważ bywają w lokalach — sprawa prosta, personel odpowiada za to, co robią. Władze wkraczają dopiero wtedy kiedy są konkrety — rozbita szyba, połamane stoliki, grubsza rozróbka pijacka. I tak to pomylenie skutków z przyczynami prowadzi do tego, że karze się za fakty, a nie widzi dojrzewającego procesu. Nim jeden pójdzie trochę posiedzieć, zdąży już ze trzech dobrze wychować.

CZY ŁÓDŹ NAM PIĘKNIEJE?

I tym razem pytam nie bez powodu. Z jednej strony doprawdy serce rośnie, jak się widzi ludzi, tysiące ludzi, którzy szczerze i bezinteresownie pucują bez przerwy nasze miasto. Sieją trawę, sadzą drzewka, malują domy, budują place zabaw myślę, że trzeba także pucować stosunki między ludźmi.

Nie tak dawno Komitet Łódzki PZPR rzucił piękne hasło — likwidujmy sami nieporozumienia pomiędzy ludźmi, likwidujmy sami „pyskówki", zatargi sąsiedzkie, święte i nieraz krwawe wojny o gołębniki i trzepaki, albo miejsce w pralni. Myślę, że front obywatelskiego działania powinien objąć także lokale publiczne, a zwłaszcza kawiarnie, gdzie ten sam obywatel chce wypić kawę, pogawędzić z miłym rozmówcą, posłuchać muzyki. Przepraszam, muzyki w naszych kawiarniach nie ma, chociaż tu i ówdzie ktoś tam kalikuje na fortepianie.

Szkoły próbują już zaktywizować czynnik kontroli społecznej, słyszymy o działalności trójek, wylanianych przez Komitety Rodzicielskie, ale te trójki interesują się głównie wagarowiczami, i o tyle tylko zaglądają do kawiarń. Oczywiście, byłoby znacznie lepiej, gdyby zamiast prosić kelnerkę o wyrzucenie synalka, starsi sami wykazali więcej energii. Gorący stosunek do miasta nie powinien być mierzony jedynie metrami sześciennymi splantowanego terenu, ilością zasadzonych drzewek, złotówkami, które kwitują ofiarność ludzką. Myślę, że istnieje konieczność czynnej troski Komitetów Frontu Jedności o kulturę ludzi w miejscach publicznych. Przecież tej troski nie załatwimy notatką w „Expressie", że długo czekaliśmy na kawę, a woda nie miała gazu, a kelnerka „otworzyła buzię". Jest to zaledwie jedna strona medalu i wcale nie ta ważniejsza, choć ważna.

KAWIARNIE ZETEMESOWSKIE JEŚLI SĄ — JAKIE SĄ?

Pytanie, na które przykro odpowiadać, ale trzeba.

Łódź posiada dwie kawiarnie szczycące się szyldem ZMS: „Staromiejska", i „Pałacyk". Do „Staromiejskiej" młodzież zetemesowska nie uczęszcza, natomiast licznie stawia się ta „bezprizorna". Stąd — moja sugestia (Kurtuazyjnie, bo w nawiasie — nie wystarczy wywiesić swój szyld, stempelek przyłożyć i na tym pracę podsumować, a tak wygląda opieka ZMS w praktyce).

„Staromiejska", od dwóch lat „należy do ZMS", i skupia trudną młodzież balucką. Prawidłowość, jak wszędzie: bójki, awantury, spijanie własnego alkoholu, ubikacje zapychane butelkami. Po jednym z ostatnich dansingów, w poniedziałek, wyniesiono z ubikacji dokładnie 83 (osiemdziesiąt trzy!) butelki po winach i „czystych".

A kierowniczka jeszcze się chwali — „jest coraz lepiej". Ale to fakt, gdyż w porównaniu z tym, co się działo przed dwoma laty, jest bez porównania lepiej. Bądź co bądź „sprężynówki" wyszły z użycia. Od dwóch lat kierowniczka „Staromiejskiej" wychowuje chuliganów. Ani razu nie miała urlopu, świątek, piątek — trzeba siedzieć w kawiarni. I co gorsza — stosować żandarmeryjne metody wychowawcze. We wszyskie dni dansingowe (cztery razy w tygodniu) kierowniczka musi być na sali na widoku, „inaczej „goście" roznieśliby lokal". Ale, jak kierowniczka jest na sali, to nie „roznoszą". I to się liczy jako sukces. Mój Boże!

Jednak nawet te, z jednej strony, przecież smutne sukcesy, są niewątpliwą zasługą kierowniczki lokalu, a nie podpisanego ZMS. W ubiegłym roku kawiarnia „Staromiejska" zorganizowała około 40 odczytów i wieczorów autorskich. Nie przychodzi na nie młodzież „wychowana". Więc może chociaż tyle jest — zasługa ZMS? Co sądzicie — o takim „zasłużeniu": przychodzi tzw. „programowy", od bębnia parenaście telefonów, po czym oznajmia, tego a tego dnia odczyt. Po czym powiada grzecznie: do widzenia. I znika na miesiące.

Zaznaczam, że koszty odczytów pokrywa kawiarnia ze swoich obrotów. Czyli — ZMS ma świadczyć tylko pomoc „moralną". Jak ona wygląda — czytaliście

CZAS ZACZĄĆ DZIAŁANIE

Gorzej niż źle przedstawia się więc ta kawiarniana dydaktyka. Ucza człowieka przez jeździe prawidłowo przechodzić bo to tc. kultura i porządek. Pasy porysowali na jezdniach, gdzie wolno, a gdzie już nie, bo inaczej mandacik za łamanie przepisów ruchu ulicznego. To bardzo słuszne. Ale wieczorem, koło takiej „Mariolki" lepiej nie przechodzić, zgodnie czy też nie, z tymi przepisami. Ludzie, którzy mieszkają obok, mówią — czemu to nikt nie zainteresuje się tym chuligaństwem? — Ano, rzeczywiście, jakoś nikt. Oni też nie, i tu leży pies pogrzebany.

ANTONI WOJCIECHOWSKI

I ŁODZIANIE schodzą pod wodę

Po udanym locie kosmonautów Nikołajewa i Popowicza, niektóre polskie tygodniki, dając za radziecką Agencją Prasową „Nowości" reportaże o ich życiu, zamieściły zdjęcia przedstawiające ich, jak wychodzą z wody na płetwach i z maseczkami nurkowymi. Widzieliśmy też w 4 numerze „Morza" podwodną fotografię, na której amerykański kosmonauta Gleen poluje na ryby w akwalungu (aparacie do oddychania pod wodą).

Płetwonurkowanie czyli mówiąc poprawnie: swobodne nurkowanie, jest dziś bardzo popularne na całym świecie. U nas w Polsce nie sprzyjające warunki naturalne (na ogół nieprzejrzysta i zimna woda), zakaz polowania na ryby (co na całym świecie jest główną atrakcją nurkowania), wreszcie brak rodzimego popularnego sprzętu, sprawiają, że grono entuzjastów, działających w tym zakresie, nie jest zbyt liczne.

W Łodzi mamy zorganizowany od kilku lat przy Oddziale PTT-K Klub Płetwonurków „Tryton", mogący pochwalić się już pewnymi osiągnięciami, oraz młodszą odeń Sekcję Płetwonurków przy Klubie Wodnym LPŻ. Obie organizacje, klub i sekcja, współpracują ze sobą (co jest raczej rzadkim wyjątkiem). Np. ostatnio PTT-Kowcy zabrali na swój tegoroczny obóz kilku LPŻ-owców, celem przeszkolenia.

Na obóz zaprosili też dwu instruktorów z nadmorskiego i bardziej doświadczonego „Posejdonu", który to klub zaprzyjaźniony jest żywo z naszym łódzkim „Trytonem". Spora grupa „posejdonowców" z bogatym sprzętem nawodnym i podwodnym (wiadomo: gdańszczanie!) rozbiła również na pewien czas namioty w pobliżu.

Obóz mieścił się nad jeziorem Drawsko, na nowym campingu. Nad domkami, namiotami i stertą butli ze sprężonym powietrzem, powiewa i czarny proporzec z białym przekątnym pasem. Jest to międzynarodowa flaga płetwonurków. (Umieszczona na boi oznacza, że w wodzie jest człowiek i ostrzega łodzie motorowe przed zbytnim zbliżaniem się).

Właśnie Czaplinek został wybrany na obóz, noszący zresztą charakter szkoleniowo-wypoczynkowy, gdyż w pobliżu, jak wieść niosła, miał być zatopiony samolot. Niestety, mimo przeczesywania dna, bo widoczność w wodzie była prawie żadna, nie natrafiono na nic ciekawego. Niektórzy obozowicze schodzili do głębokości 26 m.

Któregoś dnia żywo zainteresował się naszymi płetwonurkami Leszek Bednarski, sekretarz Komisji Sportu i Turystyki KC PZPR. Władze obozowe rozpoczęły wtajemniczać go w arkana nurkowania... Pogoda nie była nadzwyczajna, nie odstraszyła jednak od nurkowania. Toteż w balladzie dziadowskiej, przy ogromnym ognisku rozpalonym pod „totemem Trytona", śpiewano:

W mieście Czaplinku tuż przy jeziorze
hen na drahimskiej ulicy,
rozbili obóz sobie, o Boże,
współcześni biczownicy.

Niektórzy członkowie „Trytona" są czynni też na innych odcinkach turystyki w PTT-K — toteż atmosfera na obozie, zgodnie z oceną gdańszczan, jest wyjątkowo dobra i rzadko spotykana.

Można dodać, że z trzech lekarzy „trytonowców", dwu ma za sobą świeże przewody doktorskie, a brodaty „Amorek" mgr. Jakubowski, brał swego czasu udział w wyprawie „Daru Opola" na Morze Czerwone.

— 125 —

AT THE RESTAURANT

John said:

— Well, here we are, Tom. Let's take off our coats.

— Allow me to help you out your coats, gentlemen, — said the attendent.

Tom said:

— It is a nice place, isn't it?

— Where would you like to sit, gentlemen, — asked the headwaiter.

— Over there in the corner, I suppose, — answered John.

— It is a nice place, isn't it? — said Tom.

— Yes, and quite out of the way of people.

— Let's see what they have. What about an omelette?

— I'd rather have some fish.

— And afterwards a nice beefsteak?

— Just so.

— Waiter!

— Directly, gentlemen. What do you wish, gentlemen? — asked the waiter.

— Omelette for one, fish for one, and beefsteak for two.

— Will you have any dessert?

— Have you any pudding?

— Yes, sir. Plum-pudding and rice-pudding.

— What about plum-pudding, Tom?

— Yes. Two plates, please.

— Yes, sir. Any cheese?

— No, what about you George?

— 125 —

WIEDER IN DER SCHULE

Die Lehrerin fragt eine Schülerin:

— Marie, wie alt bist du?

Marie antwortet:

— Ich bin nicht alt, ich bin jung.

— Aber Marie, du verstehst mich nicht. Ich frage dich, wie alt du bist. Acht oder neun Jahre alt?

— Ach so, jetzt verstehe ich. Ich bin neun Jahre alt. Aber ich war ein ganzes Jahr krank, sonst wäre ich schon zehn Jahre alt.

— 123 —

— I am picking out the bones, Grannie. The cat won't eat bones, will it?

Grandmother:

— But there is hardly anything left there now. You have given it all away to the cat.

— But I don't want any, Grannie, really not.

— Well, drink your coffee then. It has already grown cold.

— Coffee? I want some milk.

— But there is no milk left, Andy.

— All the better. I want to play.

— 123 —

EINE SEEROSE UND MATHEMATIK

In der Mitte eines Teiches steht eine Seerose. Eine schöne Seerose. Sie wächst sehr schnell. Sie verdoppelt ihre Grösse Tag für Tag.

Nach genau zwanzig Tagen ist die Oberfläche des Teiches völlig von der Seerose bedeckt.

Der Teich ist kreisrund und die Seerose auch.

Nach wieviel Tagen ist der Teich von der Seerose h a l b bedeckt?

GEHEIME TELEFONNUMMER

Ein bekannter Sänger sitzt in seinem Arbeitszimmer und schreibt einen langen Liebesbrief an seine Braut. Plötzlich öffnet sich die Tür. Das Hausmädchen kommt und meldet:

— Herr Kammersänger, eine junge, schöne Dame möchte Sie sprechen.

— Eine junge, schöne Dame... Lassen Sie sie eintreten.

— Sie kann nicht eintreten.

— Warum kann sie nicht?

— Sie ist am Telefon.

— Am Telefon? Woher wissen Sie, dass sie jung und schön ist?

— Weil Sie doch eine geheime Telefonnummer haben, Herr Kammersänger.

TADEUSZ PAPIER

Magdalena o rannej godzinie

20

Tosiek zatrzymał wóz, uchylił drzwiczki i krzyknął: „Magda!" Wskoczyłam do samochodu i podałam mu rękę. „Jak się masz" — powiedziałam. Tosiek był wniebowzięty. Co trzecie zdanie sypał „całuję rączki", „jak się cieszę", „to nie do wiary". Bródka mu odrosła i rozczesywał ją na końcu w dwa kliny. Nie wiem, czy mu było z tym ładniej, nie zastanawiałam się nad tym. W ogóle jego uroda mnie nic nie obchodziła. Tosiek to był Tosiek, gość przy forsie i koniec. Przycisnął moją rękę do swojej twarzy i powiedział: „Magda, ty jesteś dla mnie wszystkim". Wyrwałam mu rękę i powiedziałam: „Wszystko możesz mówić, nie zrażę się niczym, tylko tego zdania nie mów." „Dlaczego?" — zapytał Tosiek. „Nie mów i koniec." „Kiedy to jest prawda" — powiedział. „Też pięknie — odparłam — ale ja sobie nie życzę, jasne?" Niech pan nie będzie taki domyślny. Owszem, Kostek tak pisał do mnie, zresztą czego ten wariat nie wymyślił, pan pamięta, jakie były listy Kostka, nie wiem czy znajdzie się taki drugi na świecie, który ma równie pomyloną głowę, ale to nie z powodu Kostka się oburzyłam. Pan nie wierzy? Proszę bardzo, ale Kostek nie ma tu nic do rzeczy. Może się kiedyś zrozumiemy, teraz pan strzelił pudło. Więc powiedziałam do Tośka: „Tosiek, ty wiesz dobrze, że ja się nie dam nabrać na ładne słówka." „Królowo — odparł usiłując przyklęknąć, oczywiście nie mógł tego zrobić, bo kierownica mu przeszkadzała, więc się tylko pochylił i pocałował moje kolano — królowo — mówił — oto klęczę przed tobą, ty tu rozkazujesz." „Nie zgrywaj się Tosiek — odparłam — jestem za cwana na taki teatr. Nie oczekuj, Bóg wie czego po mnie. Mówię to, żebyś wiedział czego się trzymać." Można się było uśmiać z jego miny. „Ach, Magda!" — westchnął i skłonił głowę. Okropnie śmieszny facet. Cie kawa jestem, ile dziewcząt nabrał na takie pozy.

„Tosiek" — powiedziałam w końcu do niego — nie będziemy chyba stać do nocy przy tym cmentarzu?" „No tak — ożywił się. — Czy jesteś po kolacji?" „Nie — odpowiedziałam. — Chętnie coś przetrącę." „Dobra jest, jedziemy zatem na kolację" — odparł. „A dokąd?" — zapytałam. „Główką pracuje" — odpowiedział. Spojrzał na mnie, i podniósł moją rękę do ust. „Tosiek, bo jeszcze uwierzę, że się zakochałeś" — powiedziałam. „Ale z ciebie ziółeczko — odparł — Dobrze wiedzieć o tym." Po chylił się nad kierownicą, sunęliśmy przez miasto prawie pięćdziesiątką. Zajechaliśmy na Traugutta, Tosiek zaparkował wóz za jakimś zagranicznym krążownikiem. Boże święty, co to był za samochód, pół ulicy zajmował, ludzie obchodzili go dokoła, zaglądali przez szyby do środka. Fantastyczny wóz i my z Tośkiem również obejrzeliśmy go dokładnie. Tosiek przytknął nos do szyby, tak go wszystko ciekawiło. „Ach — westchnął — taki wóz mieć, co Magda?" „Sprzedaj swój i kup sobie podobny" — powiedziałam. „Nie, Magda — odparł Tosiek — takim czymś jechać, co? Cholera, nie spocznę, póki coś takiego nie wykombinuję." Obeszliśmy jeszcze raz ten samochód i Tosiek wziął mnie pod rękę. „No — powiedział — było coś dla ducha, teraz kolej na ciało". Zaprowadził mnie do „Halki", ale po drodze jeszcze ze dwa razy się obejrzał.

W „Halce" był tłok, Tosiek z trudem znalazł stolik w tej sali, gdzie jest bufet. Jednak kelner pojawił się szybko, znał Tośka i nie pytał, co Tosiek zamówi, tylko ile. „Jak zwykle" odparł Tosiek, a kelner się uśmiechnął, Tosiek zaś dodał: „Myślę, że bocian z jedną nogą wystarczy." „Robi się, panie doktorze" — powiedział kelner. „I jeszcze niech pan doda coś pikantnego, może ostrygi" — rzekł Tosiek. „Okey" — potwierdził kelner. „Będziemy wdzięczni za pośpiech" — dodał Tosiek, ale kelnera już nie było i nie zdążyłam się jeszcze dobrze rozejrzeć, czy jakiej znajomej gęby nie zobaczę, a już na naszym stoliku stała karafka, jakieś zakąski, no i te ostrygi, niech pan zgadnie co to za ostrygi, myślałam, że skonam, surowe żółtka przysypane pieprzem. Kelner rozlał wódkę, Tosiek podsunął szklaneczkę również kelnerowi, lecz ten się wymówił, „Panie doktorze — powiedział — dzisiaj ciężka praca", więc Tosiek nalał mu wody sodowej i wzniósł toast: „Za nasze plany". „Najlepszego" — ukłonił się kelner. Wypiliśmy i Tosiek podał mi ostrygę, lecz wolałam zabrać się do sałatki. „Cóż za pyszna sałatka" — powiedziałam do kelnera. Tosiek z przyjemnością zabrał się do tych żółtek, połknał swoją porcję i moją, nie mogłam patrzeć, jak on łykał te żółtka. Ale zrobiło mi się nieco raźniej po tym kieliszku, pan chyba się nie dziwi, że nie byłam w sosie, wciąż myślałam o ciotce i o Marioli, co one porabiają, myślałam, co mówią, że nie wróciłam, ciotka pewnie się niepokoi, ale Mariola jest trzeźwa dziewczyna, przecież wyszłam z Iśką, powiada do ciotki, więc może Iśka zabrała mnie ze sobą, na pewno Mariola ciotkę uspokaja, mówiłam sobie. Jednak w miarę posuwania się wskazówek zegara, który wisiał naprzeciwko nas, odczuwałam coraz większy niepokój, nie powiem, żebym płakała z powodu ciotki, ale nie mogłam jeszcze przyjść do siebie i Tosiek nadaremnie starał się dopatrzeć w mojej twarzy jakiegoś uśmie-

Dalszy ciąg na str. 10

— I'll take a cup of coffee. Wan't you have one also?
— Yes. Make it two. That'll be all, I suppose.
— A glass of fresh water for me, please.
— Yes, sir.
— What have we to pay, waiter?
— Seven shillings and sixpence, sir.
— Here you are. Have you change for a pound note?
— Yes, sir. There it is...
— Forget the sixpence
— Thank you, gentlemen. Good-bye.

ANDY AT LUNCH

— Andy, lunch is ready.

— I don't want to eat, Mummy.

— But you must, Andy.

— No.

— I insist upon your eating. Just a little bit, my boy.

— No.

— Now, Andy, be a good boy. Just sit down here and have a little bit of fish.

— I want Grannie to sit next to me.

— Sit down with him, Mother dear, and try to make him eat.

— Well, here, Andy. Have some fish.

— That's too much.

— Will that do now, Andy?

— I want the cat to sit here.

— Oh, my! What a troublesome boy you are, Andy. Eat, will you?

— The cat wants to eat too.

Mother said:

— What am I to do with this boy. Well, give it some then, but do eat, will you? (Andy begins feeding the cat). Are you ever going to eat anything yourself, Andy?

— The cat hasn't eaten enough yet.

— You make my blood boil, Andy. (To Grandmother). Mother dear, can you do anything with that boy? He is altogether out of hand. I can't stand it any more.

DAS LETZTE WORT
nach J. P. Hebel

Es lebten einmal eine Frau und ein Mann. Sie lebten zusammen in einem kleinen Haus. Sie bildeten ein Ehepaar, aber die Ehe war nicht glücklich.

Die Frau sprach zu viel. Sie sprach den ganzen Tag. Sie sprach vom frühen Morgen bis zum späten Abend. Ihre Zunge war so scharf, wie eine Rasierklinge.

Sie war auch keine gute Hausfrau. Sie konnte nicht einmal kochen. Der Mann musste die ganzen Tage hungern. Er arbeitete aber sehr viel.

Ausserdem war die Hausfrau nicht sparsam. Wenn sie von ihrem Mann Geld bekam, ging sie sofort in die Stadt und kaufte neue Kleider für sich. Nur für sich.

Der Mann fühlte sich unglücklich. Er sagte manchmal:
— Du bist keine gute Hausfrau.

Dann antwortete sie mindestens zweimal:

— Du bist schlecht! Du bist schlecht!

Ihr gehörte immer das letzte Wort.

Nach einigen Jahren hatte der Mann schon genug. Er konnte mit dieser Frau nicht mehr leben. Sie sprach zu viel, den ganzen Tag. Vom frühen Morgen bis zum späten Abend und ihre Zunge war so scharf, wie eine Rasierklinge.

Der Mann nahm die Frau und ging mit ihr an die Donau. Dort warf er seine Frau in den breiten Fluss.

Der Mann sagte dabei:

— Du warst keine gute Hausfrau.

Da hob die Frau noch einmal den Kopf aus dem Wasser hervor und antwortete:

— Du warst ein schlechter Mann...

Sie antwortete nur einmal. Das war ihr letztes Wort, denn sie konnte nicht schwimmen.

Dalszy ciąg ze str. 9

chu. „Cheesz – powiedział – zadzwonię do Kazka, wiesz, on ma narzeczoną, we czwórkę będzie weselej.“ „Wszystko mi jedno – odparłam. „Dobrze, zadzwonię – powiedział – zabawimy się pysznie.“ „Chyba nie tutaj – rzekłam – Tu nie ma się gdzie bawić.“ „Słusznie – potwierdził. – Ale mam pomysł, pojedziemy do mnie.“ „Jak cheesz“ – rzekłam.

Więc Tosiek wyszedł do telefonu i musiał po drodze szepnąć coś kelnerowi, bo ten przybiegł do mnie, zapytał się czy sobie czego nie życzę, może mam ochotę na wino, na kawę, na ciastka, natychmiast poda, wszystko dobre, świeże, rany jak kleoł nade mną, poznałam po jego oczach, że odgadł mój stosunek do Tośka, więc mu odpowiedziałam ostro, żeby sobie mną nie zawracał głowy. Na twarzy kelnera nie pojawił się nawet cień zdziwienia, że go tak odprawiłam. Ukłonił się i odszedł. Nie lubię takich gości. Tosiek wreszcie wrócił, gładził z zadowoleniem swoją bródkę, powiedział, że Kazek wkrótce przyjedzie. „Ale może zdążymy raz zatańczyć?“ – poprosił. Zgodziłam się, grali przedwojenne tango, strasznie nudne i rozwlekłe, ale Tosiek był zachwycony, szeptał mi wciąż jakieś słowa, nawet go nie słuchałam. Orkiestra zrobiła małą przerwę. Tosiek nie odprowadzał mnie na miejsce, chciał jeszcze tańczyć. Więc staliśmy w tym tłoku, obok nas inne pary, starzy i młodzi, nic ciekawego. W pewnej chwili poczułam, że ktoś mi nagle na nogę i wcale nie myśli uciekać ze swoim butem. Odwróciłam się do gościa, bezczelny palant, rozmawiał ze swoją babką, a mnie wciąż nacisk buta, „Jeśli będziesz miał czas, to zejdź mi z nogi!“ – powiedziałam do niego. Żeby pan widział jego minę w tej chwili, babka zrobiła się również purpurowa, myślałam, że padnie na miejscu, porwała faceta za rękę, nie wiem, co się dalej z nim stało, ale nie zaszkodziłam mu dalszego ciągu. Zrobiło mi się lżej na duszy i rozesmiałam się głośno. „Ach, Magda – powiedział Tosiek – trzeba było dopiero takiego durnia, żebyś przyszła do siebie.“ „Wniosek stąd, że ty nie jesteś durniem“ – odpowiedziałam. Zaczęli grać, pary zaczęły się ruszać w miejscu, ale poczułam Tośka do stolika, „Dość tego tańca“ – powiedziałam.

Usiedliśmy, Tosiek w dalszym ciągu się zgrywał, niezmożliwy był w tej roli zakochanego. Wreszcie przyszedł Kazek, już z daleka się do nas uśmiechał, zachowywał się tak, jakby mnie dopiero wczoraj pożegnał. „Cześć Kazek – powiedziałam – a gdzie twoja narzeczona? Podobno masz ładną narzeczoną?“ „Właśnie – zapytał Tosiek – dlaczego sam przyszedłeś?“ Kazek po wiedział: „Przepraszam was, kochani, ona przyjdzie wprost do Tośka. Mówiłeś, że pojedziemy do ciebie?“ „Zajęta jest?“ – zapytał Tosiek. Kazek mrugnął do niego. „Owszem – powiedział mamy za dużo, zatem spieszmy się do domu.“ Przywołał kelnera i zapłacił rachunek. Zwróciłam mu uwagę, że buli za nie wypiła wódkę, lecz Tosiek machnął ręką, „W porządku“ – powiedział. Rany, jak się zgrywał przy mnie. Wyszliśmy na ulicę, było już późno, może dziesiąta, ale ruch był duży, zwłaszcza na Piotrkowskiej. Naszego krążownika już nie było, Tosiek stanął chwilę na chodniku i powiedział do Kazka: „Wiesz, Kazek, tu stało moje marzenie“. „Co stało?“ – zapytał Kazek. „Marzenie, cud, miód, cadillac“ – rzekł Tosiek. „Coś ty!“ – zainteresował się Kazek. „Fantastyczny wóz – potwierdził Tosiek – Oczy by ci wyszły z zachwytu. Ja muszę mieć to cacko.“ „Ba!“ – powiedział Kazek.

Siedliśmy do samochodu Tośka, tym razem przy kierownicy usiadł Kazek, a ja z Tośkiem usadowiliśmy się z tyłu. Kazek prowadził, bo nie wypił ani jednego kieliha. Na Kilińskiego przed cerkwią Kazek zatrzymał wóz, bo przy Narutowicza utworzył się zator, jakaś ciężarówka tarasowała drogę, a ponadto robotnicy coś tam majstrowali przy szynach. Więc staliśmy chyba z pięć minut obryzgiwani światłem acetylenowego palnika, niezłe widoki, drzewa i cerkiew zapalały się co chwila i w tych błyskach przemykali się ludzie jak zjawy. Nie mogłam się napatrzeć, byłam pewna, że to wszystko kiedyś mi się przyśni. Ujrzałam nagle w jednym błysku dziewczynę i chłopaka, trzymali się za ręce i wtedy przypomniała mi się ciotka, kiedy opowiadała mi o swoich randkach tutaj przed cerkwią. Więc ciotka stanęła mi przed oczami jak żywa. Serce mi się ścisnęło żalem i gotowa byłam uciec z tego wozu, potem nie mogłam odżałować, że nie uciekłam. Już

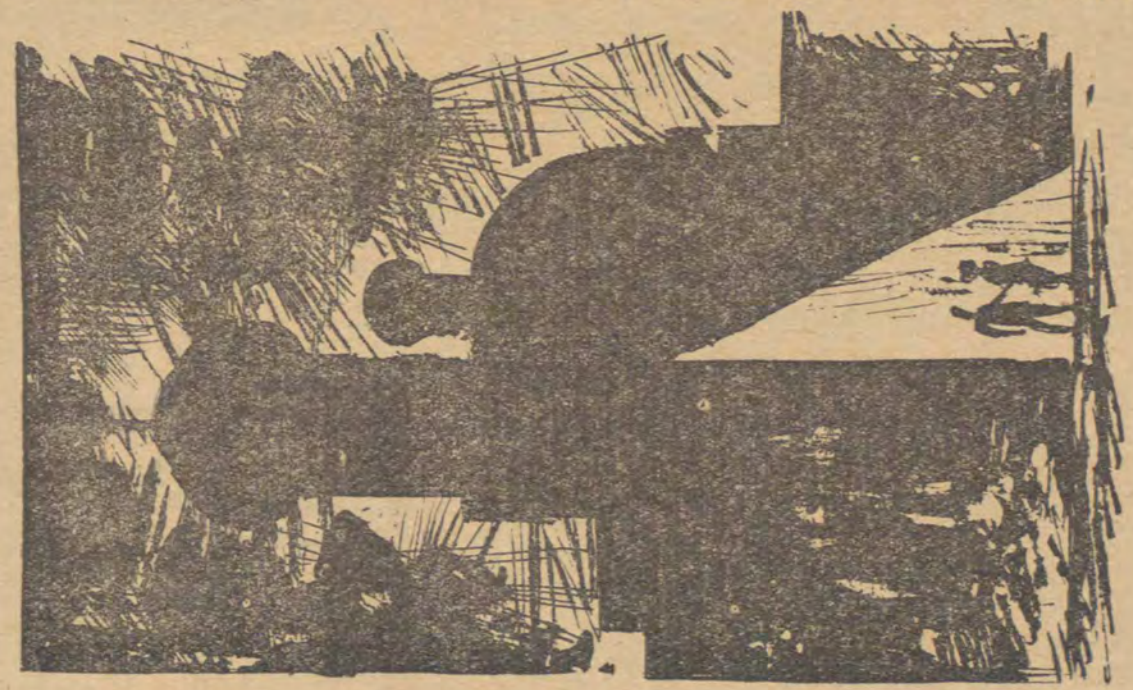

mał mnie za rękę, wyglądało na to, że mnie pilnuje, jeszcze mi nie dowierzał, albo też zauważył, że chciałam prysnąć wtedy sprzed cerkwi, i dopiero kiedy Kazek wrócił, poszliśmy na górę. Obydwaj mieli miny błazeńskie, jakbym wiedziała, że coś knują. Ale co mnie to obchodzi, jeżeli w swoich mózgownicach myśleli, że mnie czymkolwiek zaskoczą, to się grubo mylili. Może pana zdziwi to, co powiem, ale ja wówczas nie okazałam żadnego zdziwienia. No pewnie, musiała mnie ta scena zaskoczyć, ale nie w takim stopniu, jak się Tosiek spodziewał. Co pan powie, jeszcze nie zdążyliśmy wejść na drugie piętro, kiedy drzwi od mieszkania Tośka się otworzyły i przed nami stanęła Zutka. Właśnie, ta wydra od Ryżego. Boże święty, ależ wyglądała! Była umalowana, ufarbowana i w takim stroju, jakby wracała prosto z Paryża. Gdzie ją tam można było zestawiać z tą Zutką, którą poznałam na meczu! Tosiek i Kazek ryczeli, a ta wydra rzuciła mi się na szyję i powiedziała: „No widzisz Magda, jednak nasze drogi się nie rozeszły!“. „Dlaczego miały się rozejść?“ – zapytałam. „No wiesz – odparła — Widziałaś mnie ostatnio z Narcyzem i z Ryżym, wiem, że Narcyz cię obraził, okropna świnia i zerwałam z nimi.“ „To dlatego zerwałaś, że mnie Narcyz obraził?“ – zapytałam. „Nie łap mnie za słówka, kochanie. Teraz chodzę z Kazkiem. Nie wiedziałaś o tym?“ „Niby kto mi miał powiedzieć? – odparłam. – Tam, gdzie przebywałam, ciebie nie znają.“ „No, dziewczęta, nie tarasować drogi!“ – powiedział Tosiek i popchnął nas do środka.

LEOPOLD BECK

LEKKOSTRAWNY PASZTET podany o 7^{15}

Zbigniew Jabłoński (Hubert), St. M. Kamiński (kardynał) Jadwiga Andrzejewska (Antonina)

„Pasztet jakich mało" nie mówi prawdy. Komedyjka ta powinna się raczej nazywać „Pasztet jakich dużo", bo dwanaście takich pasztetów daje razem daleko mniej niż tuzin sztuk teatralnych. Okoliczność ta była sprawozdawcy znana przed premierą. Wybrał się więc na „prasówkę" z góry nastawiony negatywnie. Wybiera się przecież na operetkę bez muzyki, na jeszcze jedną komedię omyłek, w których to, co najważniejsze, dzieje się za parawanem. Przed tym nader scenicznym sprzętem odbędzie się zapewne rozmowa, która zadecyduje o dalszym biegu wypadków. Oczywiście, chytry dramaturg doda jeszcze postać, która tę rozmowę podsłucha.

W „Pasztecie" owym parawanem jest fotel. Podsłuchuje zaś nie byle kto, bo sam kardynał. Trudno więc nie mówić o kardynalnym błędzie autora. Jest to, rzecz prosta, sformułowanie przeznaczone dla widzów wrażliwych na francuski esprit. Kardynał chociaż jest kardynalną postacią sztuki mógłby zostać usunięty na drugi lub trzeci plan (wbrew woli autora i reżysera), gdyby nie St. M. Kamiński. Gra on kardynała tak, jakby przez całe życie chodził w purpurze. Już choćby dla niego sprawozdawca musiał zrezygnować ze swoich zastrzeżeń i wyznać ze skruchą, że bawił się bardzo dobrze, podobnie jak reszta widowni.

Widownia gorąco oklaskuje Jadwigę Andrzejewską, która tym razem nie gra już osoby tragicznej w swojej naiwności. Kreowana przez nią Antonina jest wesołą i rezolutną cwaniaczką z paryskich hal. Dzięki łaskawości autora doszlusowuje ona do szeregów arystokracji. Szarymi arystokratami są natomiast Janina Jabłonowska (hrabina) i Zbigniew Jabłoński (Hubert).

„Pasztet" posługuje się starym schematem komedii bulwarowej. Trudno więc od reżysera wymagać nowatorskiego spojrzenia. Francuscy autorzy stosują niezawodną i wypróbowaną recepturę wywoływania efektów komediowych. Takim efektem jest przede wszystkim wkroczenie paryskiego przedmieścia do arystokratycznego salonu. Efekt ten byłby jeszcze bardziej spotęgowany, gdyby roli hrabiny nie ograniczono do „pyskówki". Doskonale zagranej, ale „pyskówki". A chodziło przecież o karykaturę arystokracji. Karykatura jest wyolbrzymieniem cech charakterystycznych. W przypadku hrabiny z „Pasztetu" domagam się karykatury arystokratki, zamiast jeszcze jednego wcielenia Hanki Bielickiej. A nie brak przecież w sztuce z umiejętnością zagranego pospolitstwa: dobrze sekunduje Andrzejewskiej w tym stylu Ryszard Dembiński. Ten aktor potrafi z talentem przesadzać. Natomiast każdy może się przekonać, iż w Patrycym znalazł Jan Rudnicki wreszcie swą życiową rolę. Podobnie każdy może się przekonać o wdzięku Lucynki — Izabeli Pieńkowskiej.

Od pochwał przechodzimy do zarzutów: w trzecim akcie kardynał nagle wszystko wie. Więcej niż podsłuchał i więcej niźli mógł się dowiedzieć. Ktoś tu zawinił: reżyserski ołówek? tłumaczenie? a może sam autor?

*) J. Valmy i R. Vinci „Pasztet jakich mało". Tłum.: Tadeusz Polanowski. Reżyseria Janusz Kłosiński. Scenografia: Henri Poulain.

„SZEŚĆ POSTACI" CZYLI WÓZ TRANSMISYJNY

To wydarzenie niebagatelne i należy je zapisać wielkimi literami: Łódź po raz drugi w stosunkowo niedługim czasie otrzymała od Warszawy wóz transmisyjny. Można więc chyba sobie w tym miejscu powiedzieć — jeszcze po cichutku, ale nie tylko przez skromność, lecz głównie po to, aby nie zapeszyć losu szczęścia — że nasza akcja nie poszła zupełnie na marne, i oto Warszawa zaczyna traktować ŁOT coraz bardziej jako równorzędnego partnera, doceniając jego możliwości. Przy okazji pragnę nadmienić wszystkim rodzimym sceptykom, którzy wygłaszali szereg mało budujących a wielce pesymistycznych prognostyków pod adresem redakcji publicystycznej ŁOT, że opinia z oficjalnej recenzji („Radio i Telewizja", nr 40) wysoko oceniła walory pierwszego, nadanego w programie ogólnopolskim, reportażu publicystycznego: „Ludzie i renty".

Powracając do transmisji. Jeżeli pierwsza od wielu lat transmisja z łódzkich teatrów w końcu sierpnia („Grube ryby" Bałuckiego, Teatr Powszechny) nie była zbyt reprezentatywną (do czego posiadaliśmy przecież pełne prawo, zważywszy na zmowę milczenia, jaką otaczano dorobek łódzkich teatrów), to już ta druga transmisja — miejmy nadzieję, że nie ostatnia, wierzymy też w pomyślność trwającej koniunktury — „Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora" L. Pirandella z Teatru Jaracza, godnie zainaugurowała teatralny sezon jesienno-zimowy.

„Sześć postaci scenicznych w poszukiwaniu autora" Pirandella określa się jako sztukę niezwykle współczesną, natomiast przypomnienie daty jej prapremiery, która odbyła się w roku... 1923, poddaje ciężkiej próbie ustalone kryteria współczesnego dramatu. Na swoje szczęście nie muszę zajmować się analizą podobnych refleksji, ponieważ nie mam zamiaru „popełniać" recenzji ze spektaklu w stylu klasycznym. Jednak sztuka Pirandella jest wyjątkowo trudna: trzy akty rozgrywają się właściwie na proscenium, a nierzadko i w pierwszych rzędach widowni. Stąd — „Sześć postaci" Pirandella wydaje się posiadać o wiele silniejsze walory telewizyjne niż sceniczne.

Te usiłowano podkreślić podczas transmisji, niejako adaptując na żywo sztukę Pirandella do wymogów telewizji. Na pewno też spora część telewidzów była nieco zdziwiona, bowiem zapowiedź spikera brzmiała: „transmisja z teatru", zaś publiczności ani śladu. Kamera fotografowała pustą salę teatralną, rzędy krzeseł przykryte pokrowcami. Zastosowany tu chwyt, który przydał kameralności przedstawieniu, zbudował nastrojową, sugestywną atmosferę realności rozgrywanej akcji, zmuszając widza do maksymalnego skoncentrowania wokół niej swojej uwagi. Pomysł tym cenniejszy, że nowotarska forma sztuki Pirandella dla przeciętnego telewidza, bądźmy szczerzy: raczej nie obytego z nowoczesną koncepcją teatru, mogła wydać się mało komunikatywnym, sztywnym i dziwnym tworem dramaturgicznym. Oczywiście, ktoś może postawić zarzut, że w taki sposób pozbawiono widza przyjemności obserwowania reakcji widowni, (spotkałem się z podobnym), jednak czy już nie mamy innych zmartwień?

KOWALSKI

P.S. Aktorzy — bardzo dobrzy, szczególnie wyróżniła się Siennicka w roli Pasierbicy. Ale dlaczego były tak denerwująco długie przerwy pomiędzy aktami?

Fot. Krajewski

JERZY WILMAŃSKI

U LITERATÓW

Chyba gdzieś rok temu pisaliśmy o cyklu „Gawęd intelektualnych" jakie rozpoczęto wówczas z inicjatywy zarządu Łódzkiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Ponieważ inicjatywa łódzkich pisarzy nie tylko nie skonała naturalną śmiercią (jak to w Łodzi często bywa) ale przeciwnie imprezy w gmachu przy ulicy Mickiewicza 8 stały się nieodłącznym elementem kulturalnego harmonogramu miasta — warto na marginesie tej działalności sformułować kilka uwag.

Pisarze to ludzie ciekawi. Gościli u siebie socjologów, psychologów. Gościli i goszczą plastyków, ich obrazy. Niedawno wystawiał w lokalu Związku Wacław Kondek — twórca urzekającego świata kolorowych ludzików i smutnych madonn... Ostatnio sprowadzono wystawę świetnych grafik Marii Hiszpańskiej-Neumann. To naprawdę bardzo dobrze, że naszemu tak ubogiemu w wystawy malarskie miastu przybyła jeszcze jedna miniaturowa galeria sztuki.

Niedawno gościł w Łodzi na zaproszenie Oddziału Jerzy Zawieyski — dramaturg, pisarz, poseł i członek Rady Państwa. Niedługo przybędzie świetny publicysta, krytyk, polityk — Władysław Bieńkowski.

Oczywiście grono jest ograniczone — mała salka niewiele osób może pomieścić. Byłoby zatem nieźle, aby doniesienia prasowe z owych imprez nie były li tylko suchą informacją. Obecnie prawie wyłącznie, tylko „Głos Robotniczy" stara się rozszerzyć swoje publikacje dotyczące działalności Łódzkiego Oddziału. Inne gazety poprzestają na suchych wzmiankach bądź ogólnikowych wywiadach z osobistościami warszawskiego Parnasu. I tu warto wspomnieć o cyklu rozmów z łódzkimi pisarzami, jaki prowadzi od pewnego czasu w „Głosie" red. J. Sakowiczowa. Te bardzo ciekawe, często wręcz zaskakujące w swej zawartości publikacje pełnią jakąś poważną rolę popularyzatorską. Sądzę, że choć by tylko w rewanżu za twórczy, intelektualny ferment jaki wnosi w atmosferę Łodzi działalność Oddziału ZLP — należy się łódzkim pisarzom odrobina uwagi i zainteresowania ich twórczością. Pisarze nie mają oczywiście zamiaru konkurować ze sławą sportowców, ale zważywszy subtelną różnice w wysokościach wkładu do „skarbonki kultury" warto czasem przypomnieć i tych, którzy w samotności bez dopingu widowni pokonują plotki i poprzeczki o ileż trudniejsze, a zupełnie niewymierne w sekundach i centymetrach.

Trudno zresztą mówić wyłącznie o pracy w samotności. Ostatnio Łódzki Oddział Związku Literatów Polskich nawiązał kontakt ze Związkiem Zawodowym Pracowników Przemysłu Włókienniczego. W wyniku porozumienia nastąpi silniejsze związanie środowiska literackiego z pracą świetlic i klubów przyzakładowych.

TELEwizja

„MUZYKI LEKKIEJ, ŁATWEJ i PRZYJEMNEJ" — BILANS PO DZIESIĘCIU PROGRAMACH

Tak więc w ubiegłą niedzielę po południu „Muzycę lekkiej, łatwej i przyjemnej" wybił jubileusz dziesiątej audycji. Nie jest to pozornie wiele, a jednak ten nieduży objętościowo program jest w rezultacie najstarszą audycją prezentowaną mniej lub więcej regularnie przez Łódź na ogólnopolskiej fali.

Program niedzielny był próbą małego bilansu: piętnastu wykonawców (wśród nich głos Ludmiły Jakubczak śpiewającej „Tango zazdrości" — odtworzono go z taśmy magnetofonowej) wykonało piętnaście piosenek zasługujących, zdaniem realizatorów, na przypomnienie. Z pierwszej audycji wybrano piosenkę „Ty jesteś księżycem" w wykonaniu Reginy Bielskiej, z audycji kwietniowej — „Prima aprillis" (Bogusław Wyrobek), z audycji majowej — „Arlekino" (Violetta Brankowa), następnie usłyszeliśmy piosenki — przypominam tylko ciekawsze, bądź ciekawiej interpretowane — Sjamski zaułek" (Lidia Wysocka), „Wiedeński walc" Wiesława Drojecka — jedna chyba z bardziej interesujących wykonawczyń, jakimi aktualnie dysponujemy, „Gwiazdy w Alabama" (Sława Przybylska), „Tango Italiano" (Irena Santor), „Cztery mile za piec" (Helena Majdaniec) i kilka innych.

Cóż by się o wspomnianej audycji dało generalnie powiedzieć, biorąc pod uwagę, że nie okazja tu na wychwytywanie poszczególnych potknięć, a chodzi raczej o podniesienie zasług czy zalet.

A więc po pierwsze: jest to audycja bardzo konsekwentnie lansująca aktualne przeboje zachodnie (przynajmniej: przede wszystkim zachodnie) w nowych, na ogół starannych czy chociażby strawnych przekładach.

Po drugie: jest to audycja prezentująca szeroki wachlarz piosenkarzy, szczęśliwie nie zawężająca zainteresowań do kilku, choćby najbardziej modnych, nazwisk.

I wreszcie po trzecie: jest to audycja uporczywie szukająca oryginalnych, telewizyjnych form. Stosowanie tylnej projekcji, dynamicznych zbliżeń, przebitek, zdjęć trickowych — wszystko to ładnie świadczy przynajmniej o dobrej woli reżysera i pozwala zapowiadać „Muzyce lekkiej, łatwej i przyjemnej" wcale bogatą przyszłość. W porównaniu z sobotnim „Amigo Coctail" — program nadawany w ramach Interwizji z NRD — audycja łódzka była nieporównanie bogatsza telewizyjnie (choć na pewno uboższa, jeżeli chodzi o ilość orkiestr, zestaw wykonawców itp.), że zwrócę uwagę choćby na samą konwencję pojawiania się człowieka na małym ekranie.

Tam — inna sprawa, że program był transmitowany z sali koncertowej — wykonawca wchodził prowadzony przez kamerę, potem otrzymywaliśmy lepsze lub gorsze zbliżenie, znów pełen plan i to wszystko. Tu już pierwsze ujęcie poddawało ton piosenki, tu Kalina Jędrusik była kadrowana w dużym zbliżeniu i profilu, Wiesława Drojecka w pełnym planie i w ruchu, Regina Bielska miała pierwsze ujęcia z dużego oddalenia, Lidii Wysockiej kamera przebiegła po nodze, Helenę Maj daniec ujęła początkowo en face gdzieś zza kwiatów, aby potem wprowadzić ją na pełny plan, pozwolić tańczyć i śpiewać...

Ta rozmaitość form, wynalazczość w operowaniu kamerą, wyczucie telewizyjności audycji — to chyba bezsporna zasługa reżysera, operatorów i wreszcie scenografa. Są oni w pobliżu znalezienia własnego stylu, a to byłby dla telewizji łódzkiej duży sukces.

JERZY PANASEWICZ

NÓŻ NIE w WODZIE NIESTETY...

Dalszy ciąg ze str. 1

ni. 12 razy przyczyną krwawych zajść było przypadkowe nieporozumienie, sprzeczka. Nieporozumienie dłużej trwające, zemsta odezwała się w ręko- i narzędzio-czynach 7 razy. 5 razy krzepa została wyładowana na zupełnie przypadkowych, bogu ducha winnych bliźnich, ot tak sobie, bez powodu. Tylko w dwóch zajściach grało jakąś rolę wyzywające zachowanie się pokrzywdzonego.

W 17 przypadkach — na 26 przypominam — prokurator nie nakazał aresztowania winnych. W 14 wyrokach kara opiewała od 6 miesięcy do 1 roku więzienia. 11 razy sąd zastosował warunkowe zawieszenie wykonania kary pozbawienia wolności.

Myślę, że dość przesłanek dla wniosku, że zarówno nasze organa ścigania, jak i wymiaru sprawiedliwości obchodzą się z nożownikami i zabijakami nader delikatnie i łagodnie. Gdybym chciał być złośliwy i przypomniał, że nie tak dawno stosowało się u nas areszt wobec 300-złotowych złodziejaszków i skazywało się ich bez pardonu, musiałbym konsekwentnie rzec, że nożownicy i rzezimieszki byli w tym samym czasie pod ochroną. W poczuciu odpowiedzialności cofam się jednak przed tego rodzaju insynuacją.

Faktem jest, że wobec tych ostatnich stosuje się represję karną, w bardzo dolnych granicach ustawowego zagrożenia. I faktem jest, że to gra wielce ryzykowna. Najmniej, oczywiście, wobec skazywanych rzezimieszków, bardziej ze względu na potencjalnych kandydatów na nich, a najwięcej z punktu widzenia odczucia społecznego, tyczącego bezpieczeństwa i sprawiedliwości.

Środowisko ludzkie, które widziało czyn zbrodniczy, niezależnie od jego wyników, nie zwykło rozstrząsać niuansów prawnych. Nie masz dlań gorszej rzeczy, jak widzieć oprawcę na wolności, niekiedy śmiejącego się w kułak. Powstaje mit o bezkarności, a na jego gruncie u osobników krzepkich w mięśniach, mniej na umyśle, predyspozycja do załatwiania „porachunków" metodą tych, co uniknęli kary, to znaczy nożem albo kijem. A porachunków u nas „mnogo". Statystyki kłótni rodzinnych i sporów sąsiedzkich zajmują przedziały dziesiętnotysięczne.

W ubiegłym tygodniu mieliśmy okazję czytać smętne stwierdzenie, iż w pierwszej połowie bieżącego roku zanotowaliśmy w Łodzi o 6 zabójstw więcej aniżeli w analogicznym okresie roku ubiegłego. Pocieszano nas, że w większości były to morderstwa nieklasyczne, popełnione nie z chęci zysku, a na tle „nieporozumień rodzinnych". Jeżeli to skojarzyć z wysoką częstotliwością zjawiska o niewinnej nazwie „nieporozumienia rodzinne" i z ową łagodnością w traktowaniu sprawców ciężkich uszkodzeń ciała, wynikłych w trakcie tych „nieporozumień", ciśnie się przeraźliwe pytanie, ile zabójstw odnotujemy w najbliższym czasie?

Winienem uspokoić, że chyba jednak wiele nie odnotujemy. Miałem możność czytać ostatnio pewien interesujący dokument. Stanowi on krytykę polityki karnej w zakresie przestępstw przeciwko zdrowiu. Niezależnie od wniosków o rewizję nadzwyczajną w czterech spośród wyliczonych na wstępie sprawach, dokument zapowiada zaostrzenie czynności prokuratorskich w tej mierze, a więc częstsze niż dotąd stosowanie aresztu i zakładanie rewizji od łagodnego wymiaru kary, a zwłaszcza od warunkowego jej zawieszania. Mądry, interesem społecznym podyktowany dokument. Nic ująć, nic dodać, a tylko czekać na realizację.

SCEPTYK

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Ewa Stachurska

Historia z myszką

NIEUCZCIWY BRATANEK

Oskar Kon, prezes i właściciel Widzewskiej Manufaktury, celował w tym, ażeby jak najwięcej walut obcych wywieźć z kraju i lokować w bankach zagranicznych. W tym celu posiadał odpowiedni do wywozu walut aparat. Jasne, że w tym niechlubnym procederze miał wspólników pośród najbliższego otoczenia. Otóż pewnego dnia — podczas przemytu — jego zaufany krewniak — wpadł. Władze celne w Gdańsku wykryły w samochodzie przewożone przezeń 80.000 dolarów. Bratanek zdołał zatelegrafować do Łodzi: Stało się nieszczęście! Wujku, ratuj, 80 tys. zagrożone.

Po otrzymaniu depeszy prezes Kon postanowił ratować zagrożoną kwotę. Natychmiast skontaktował się ze znanym łódzkim mecenasem — kryminologiem K. Ten poradził swemu klientowi: — Niech pan natychmiast zawiadomi łódzkie władze śledcze, że pański bratanek skradł panu 80.000 dolarów i usiłował z nimi uciec za granicę.

Sekretarka: — Proszę do telefonu pana komendanta. Mówić będzie prezes Kon.

Po drugiej stronie drutu:

— Tu komendant. Słucham pana prezesa. Czym mogę służyć?

— Panie komendancie. Właściwie powinienem do pana przyjść. No, ale sprawa nie cierpi zwłoki.

— A cóż się stało panu prezesowi?

— Przykry wypadek w rodzinie. Mój bratanek, którego obdarzyłem wyjątkowym zaufaniem, nadużył go. Ze wstydem muszę wyjawić, że skradł mi 80 tys. dolarów i usiłował zbiec za granicę. Panie komendancie, bardzo pana proszę o wszczęcie dochodzenia śledczego.

— Natychmiast wyślemy depeszę. Pański bratanek nie ujdzie.

Istotnie po 3 dniach sprawa się wyjaśniła. Bratanek został przetrzymany w areszcie. „Skradzione" pieniądze w całości wróciły do ich właściciela prezesa Kona. Bratanek za kaucją został zwolniony. Na rozprawie sądowej wytoczonej przez prokuratora bratankowi Kona, jego obrońca, mec. K domagał się uwolnienia klienta od odpowiedzialności wobec tego, że, a) powód (tj. prezes Oskar Kon) zrzekł się wszelkich pretensji, nawet tzw. symbolicznej złotówki i b) kradzież dokonana została w rodzinie, co w łódzkich sferach bardzo często się zdarza.

Sąd orzekł wyrok skazujący, lecz... z zawieszeniem.

ŁÓDZKIE ULICE

Łączna długość wszystkich ulic znajdujących się w obrębie Wielkiej Łodzi wynosi 1077,6 km. Z tego nawierzchnię szlachetną posiada 155,6 km, brukowaną 409,9 km, a gruntowa 521,1 km.

Największy ruch panuje na skrzyżowaniu ulic Narutowicza i Piotrkowskiej. Obliczono, że przez skrzyżowanie to przejeżdża w ciągu godziny 1600 pojazdów, nie licząc tramwajów.

Jedną z przyczyn wielkiego ruchu pojazdów w śródmieściu jest to, że Łódź w odróżnieniu od innych miast nie posiada objazdowych tras tranzytowych.

CRIMINAL ZORRO

Na Chojnach działała szajka, która okradała furmanki chłopskie przyjeżdżające do Łodzi z produktami rolnymi. Cała ta sprawa nie zasługiwałaby może na większą uwagę, gdyby nie fakt, że złodziejem okazało się nieletnie dziecię w przebraniu legendarnego Zorro. Otóż cudowne dziecko, mając na twarzy maskę, a na ramionach — czarną pelerynę, wskakiwało pod osłoną nocy na wozy i... rekwirowało co smaczniejsze kąski. Wystraszeni chłopi, traktując widocznie małego gościa jako wysłannika szatana, nie próbowali mu się przeciwstawiać i bez oporu obdarzali darami bożymi.

Kres działalności „Zorro" położyła dopiero milicja. Po rozbiciu szajki okazało się, że w skład jej wchodziło także dwóch kryminalistów z odpowiednim stażem „pracy". Wykorzystując sympatię chłopca do szlachetnego Zorro, zmodyfikowali jego rolę, przystosowując ją — ich zdaniem — do czasów współczesnych.

No cóż, ale we współczesnych czasach criminal Zorro jednak przegrywa.

DETEKTYWI NIE PÓJDĄ TROPAMI...

Do jednej z komend dzielnicowych MO przyszedł pewnego dnia mężczyzna w średnim wieku. Był zdenerwowany i chciał się koniecznie widzieć z komendantem. Spełniono jego prośbę.

— Panie komendancie — zaczął na wstępie — podejrzewam żonę o zdradę.

— To nie nasza sprawa — odpowiedziała władza.

— Wiem — ciągnął dalej interesant — ale chciałbym wynająć dwóch detektywów. Dobrze ich opłacę. Niech tylko śledzą żonę. To byłaby ich uboczna praca.

Niestety, jak można się było spodziewać, milicja tej dosyć oryginalnej propozycji nie przyjęła. A wszystkiemu winni są przestępcy, którzy i tak dostarczają jej sporo pracy.

ODGŁOSY tygodnia

W SMUTNEJ SPRAWIE...

Pogrzeb — rzecz smutna. Ostatecznie, każdemu z nas w końcu i to się zdarzy... Wybaczcie zatem chwilę rozmyślań nad niewesołym bądź co bądź tematem.

Miejscem owych rozmyślań był Cmentarz Komunalny, gdzie pochowano ostatnio jednego z moich przyjaciół. Brałem udział w ceremonii. Ale... czy można to było nazwać ceremonią? Trumnę złożono w grobie, grób zasypano i tyle.

Kim był Zmarły? Prostym człowiekiem, który swoje uczciwe, pracowite życie poświęcił rodzinie, dzieciom. Nie był znakomitością, nie był wybitnym działaczem, nie wyróżnił się specjalnie i bynajmniej nie starał się nawet o osiągnięcie jakichś „wyżyn". Nie miał po prostu aspiracji w tym kierunku. Był chyba typowym przykładem tzw. „szarego człowieka" w dobrym znaczeniu tego słowa.

Nad trumną człowieka wybitnego wygłasza się przemówienia, oddaje hołd, odbywa ceremonię. Szeregowy zmarły (jeśli wolno się tak wyrazić) — jest pozbawiony tych atrybutów obrzędu pogrzebowego.

Na cmentarzu wyznaniowym kapłan odprawia modlitwy. Niezależnie od mego stosunku do obrzędów religijnych, przyznać muszę, że w tym wypadku każdy zmarły ma tu zapewnioną ceremonię pogrzebu (oczywiście — w trybie odpłatnym). Rodzina życzy sobie (i płaci za to), by zachowany został odpowiedni rytuał.

Nie trzeba chyba wyjaśniać, że taki czy inny ceremoniał potrzebny jest właśnie bliskim, żegnającym zmarłego. Kto wie, czy brak tego ceremoniału nie stanowi ważnej przyczyny, dla której ten i ów zrezygnował z pochowania swego niewierzącego bliskiego na Cmentarzu Komunalnym, wybierając — wbrew przekonaniu — cmentarz wyznaniowy.

O każdym życiu ludzkim można i należy coś powiedzieć w chwili, gdy zostało zakończone. Każde życie ludzkie, czy było wybitne czy też tylko „przeciętne" — stanowi sumę lat ciężkiej pracy i walki o byt, lat troski o bliskich, lat zmagań i wysiłków, upadków i wzlotów.

Pamiętamy pierwszy okres ślubów cywilnych. Ludzi raził brak ceremoniału i brak ten został następnie (bodaj wciąż jeszcze w niedostatecznym stopniu) usunięty. Wydaje się, że po prostu przeoczono sprawę ceremoniału pogrzebowego. Czyż nie powinien wziąć w nim udziału urzędnik Stanu Cywilnego? Czy nie powinien wygłosić nad grobem zmarłego jakiejś formuły — czy to będzie pożegnalna formuła, czy może po prostu zwięzły życiorys, akcentujący trudy życia zmarłego, które oto dobiegły końca?

Zapewne nie jest to „sprawa życia i śmierci", ale warto może i nad tym pomyśleć.

H. S.

LICEA OD PODSZEWKI

Przytaczamy poniżej jeszcze kilka ciekawostek z „pokłosia" ubiegłego roku szkolnego w liceach ogólnokształcących.

● Dziesięć procent uczniów nie korzystało w ogóle z bibliotek szkolnych. Przeciętnie każdy uczeń wypożyczał w ciągu roku zaledwie 17 książek, podczas gdy „norma" lektury, określona przez Ministerstwo Oświaty, wynosi 30 książek rocznie.

● W klasach ósmych było w ubiegłym roku 2.174 uczniów pochodzenia robotniczego i 2.120 uczniów pochodzenia chłopskiego (czyli prawie równo). Natomiast w klasach jedenastych na 464 uczniów pierwszej grupy, przypadało blisko dwa razy więcej uczniów grupy drugiej.

Nie oznacza to wcale, że cztery lata temu w chwili przyjmowania do liceum tegorocznych maturzystów, inteligencja przeważała. Oznacza natomiast — co potwierdzają liczby — że „odsiew" w przeważającej mierze zagarnia właśnie młodzież robotniczą.

● Na 667 nauczycieli zatrudnionych w liceach, 618 posiada ukończone studia wyższe, w tym aż 373 — stopień magisterski. Chyba żaden inny zawód — oczywiście poza personelem naukowym wyższych uczelni — nie może się poszczycić taką liczbą pracowników z najwyższymi kwalifikacjami.

● Na ogólną liczbę 28 łódzkich liceów, w ubiegłym roku tylko sześć zrealizowało w zakresie wszystkich przedmiotów cały materiał, nakazany programem nauczania. Materiału fizyki nie zrealizowano w czterech szkołach, chemii — również w czterech, języka polskiego — w trzech.

● W 12 liceach istnieją spółdzielnie uczniowskie. Podstawową formą działalności spółdzielni jest sklepik z materiałami piśmiennymi. Poza tym prowadzą one kursy kroju i szycia, dziewiarstwa, itp. Sklepiki mają spore obroty np. w XVIII Liceum uczniowie utargowali w ciągu roku 95.5 tys. zł. W żadnym ze sklepików nie stwierdzono manka.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 1.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PTPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 3021. X. 62. A-4